



ROK LVIII

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

NR. 48

WARSZAWA, 28 LISTOPADA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Pod znakiem odrodzenia fizycznego—K. Muszałówna. Wobec bezrobocia kobiet—H. C. Kartka z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku (c. d.)—R. M. Blüth. Świat kobiety (c. d.)—Marja Grossek-Korycka. Wycieczka do Berna—Helena Boguszewska. Wiersze: „Nad grobem Nieznanego Żołnierza”—Zofja Rościszewska. Zdrada (nowela)—Włodysław Rymkiewicz. Pan w futrze (nowela)—Hanna Skarbek. Piękna Pamela (dok.)—Karolina Bielańska. Zofja R. Nałkowska—C. Walewska. Nic ważnego—Marja Kuncewiczowa. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Dział praktyczny: Mody i roboty. Przenośna półeczka. Dzieci—W. D. Batik—Marja Zawadzka. Zakład ogrodnicy w Zaleszczykach—Stella Olgierd. Praktyczne prowadzenie domu—Pani Elżbieta. Obiady na maszynie—Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta. Dobre Rady. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy: „Posłannictwo Jasia” (nowela)—Anna Limprechtówna (Orsyd). TABLICA KROJÓW.

Niema w Polsce zakątka ziemi, dokądby nie doszła wieść o zgonie wielkiego twórcy — Stefana Żeromskiego, bo też niema zakątka ziemi polskiej, któregooby nie ogarnęło jego serce miłujące.

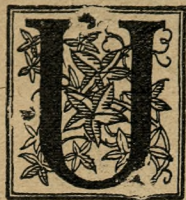
Tam, gdzie się snuła szara nić codziennej pracy i tam, gdzie się działy wielkie, w przyszłość prowadzące sprawy — tam był On. Przez wszystkie szczeble życia narodowego, od tych najskromniejszych, tych przyziemnych, prawie nic nieznaczących, aż na najwspanialsze wyżyny ducha ludzkiego szedł w pielgrzymce żmudnej, patrząc oczami wszystko widzącemi i ogarniając sercem wszystko rozumiejącem.

Narodowi swemu narzucał wolę pracy i twórczości, wskazywał drogę wielkich powołań, drogę wiodącą szczytami. Nie chciał, by Polska była tylko ludzi wielkich prochem, wiązał z Jej przyszłością najszlachetniejsze ambicje.

Naprzekór smutkowi rzeczy, które się dzieją, budził odwagę stawiania nowych idei. Chciał w narodzie swym widzieć virtus niezłomną, zawzięte męstwo mądrej przemiany i naprawy.

Narodowi, dźwigającemu się z niewoli, wskazywał drogi, uczył, groził, podawał w najpiękniejszym słowie, jak w czarze bezcennej, swą własną serdeczną krew. — To też, gdy odszedł od nas, w życiu duchowem Polski zostało po Nim miejsce wielkie i puste.

POD ZNAKIEM ODRODZENIA FIZYCZNEGO



podstaw kobiecego ruchu sportowego, obserwowanego w życiu współczesnym od niedawnych lat, leżą przyczyny identyczne z temi, które wcześniej nieco na zieloną murawę boiska szerokim oddechem słońca ściągnęły tak żywiołowo młodzież męską.

Uzasadnienie współczesnego ruchu sportowego wśród młodzieży płci obojga pod względem teoretycznym jest przeto wspólne. Wszystko tedy, co mówić będziemy dalej dla wyjaśnienia, czemu w życiu współczesnym człowieka, narodów i ludzkości sport i wychowanie fizyczne coraz więcej miejsca zajmują — nosić będzie ów charakter ogólny, a nie specyficznie tło kobiecego ruchu rysujący.

Jeżeli jednak ideologiczna strona ruchu sportowego nie wysuwa różnic w zasadniczym ujęciu kobiety, czy mężczyzny, to natomiast praktyczna strona wychowania fizycznego i sportów wysuwa postulaty odmienne dla każdej płci, różniczkuje się coraz więcej, zarówno pod względem programowym, jak metodycznym.

Sport współczesny, praktykowany niezmiernie szeroko przez młodzież wszystkich klas społecznych i obu płci zagranicą, u nas stosunkowo stoi jeszcze dość nisko, zarówno pod względem osiągniętych rezultatów, jak pod względem liczby młodzieży sportującej.

Ruch sportowy kobiet w Polsce wykazuje dość dziwne odchylenie w porównaniu z ruchem męskim: rezultaty polskich sportswomen w porównaniu z zagranicznymi są lepsze, aniżeli także porównawcze wyniki naszych sportsmenów, aczkolwiek sportem dotychczas interesowały się zaledwie nieliczne jednostki kobiece, podczas gdy sport wśród młodzieży męskiej trafił już do szerokich mas.

Fakt ten, oraz dające się w ciągu ubiegłego sezonu zaobserwować zjawisko coraz większego zainteresowania sportem przez kobiety, a wreszcie niezaprzeczone już dziś wartości wychowawcze, każą nam zająć się bliżej ruchem sportowym młodzieży dziewczęcej.

Dla czytelniczek naszych wyniknie stąd korzyść podwójna: zdołamy — być może — niejedną z nich przekonać o konieczności praktykowania ćwiczeń fizycznych w dobrze zrozumianym interesie własnym, prócz tego zaś będziemy mieli sposobność zapoznać czytelniczki nasze z tym wielkim światem wrażeń i wzruszeń o głębokim, artystycznym nieomal tonie, jakie daje sport. Bo poza całą przydatnością codziennie-życiową wychowania fizycznego, sport jest wielką grą, jest szlachetną walką, w której ścierają się bezkrwawo, bez nakazu zewnętrznego, bez żadnej pozornie potrzeby życiowej indywidualności ludzkiej. Jest to walka nie tylko fizycznej istoty człowieka i nie tylko o fizyczną doskonałość. Do wielkiej gry, jaką jest konkurencja sportowa, zaprzęgnięte

zostały wszystkie elementy żywego człowieka: wola, wytrzymałość nerwowa, charakter, odwaga — cnoty moralne o wartości pierwszorzędnej.

Sport jest wielką grą, w której — kto wie — wygra może człowiek jutra i w treść codziennego życia wplecie te ideały ogólnie — ludzkiego bytowania, jakie nam dotychczas niosło tylko marzenie szalonych głów niepoprawnych idealistów.

Przyjrzyjmy się uważnie zasadom tej szkoły życia, jaką propaguje sport.

Brak miejsca nie pozwala mi potraktować tematu wystarczająco obszernie.

Podam więc tylko w skrótach syntetycznych tło, na którym wyrósł i rozwija się bujnie, dziwnym owiany urokiem, — przepyszny już dziś kwiat, zwany sportem. W miarę postępów cywilizacyjnych — coraz dalej odsunęła się ludzkość od natury. Rozwój umysłowy w ubiegłych stuleciach nie szedł w parze z rozwojem fizycznym człowieka. Dorobek kultury ludzkiej wzrastał, umysł obejmował coraz szersze kręgi, duch rwał się coraz wyżej, — ciało karłało. W zamkniętych przestrzeniach, dusznych klasach szkół, zakurzonych bibliotekach tłuksła się myśl ludzka, murem odgradzona od świata żyjącej natury, ślęcząca nad stosami książek.

Ludzie, w przyszłość patrząc umiemy, zlekli się grożącej degeneracji fizycznej cywilizowanego człowieka. Widmo homunkulusa stwarzało obawy, że degenerując się fizycznie, człowiek dalszych pokoleń nie będzie w stanie dźwignąć i dalej wzbogacać cywilizacyjnych zdobyczy ludzkości. Wysunięto więc w drugiej połowie ubiegłego stulecia hasło regeneracji fizycznej, czerpiąc pełnymi rękami z bogatej skarbnicy starożytnych. Słoneczna Hellada raz jeszcze stała się wzorem dla świata nowoczesnego, raz jeszcze przesłała nam niezgaszony uśmiech swej wielkiej mądrości, raz jeszcze wskazała drogi do Odrodzenia, raz jeszcze nauczyła, że człowiek powinien żyć wszechstronnie, powinien umieć rozwijać wszystkie z przyrodzenia właściwe mu zdolności i skłonności.

Hasło — renesansu fizycznego szerokim echem odbiło się we wszystkich krajach cywilizowanych. Obok protestów i zastrzeżeń hasło to wzbudziło głęboki entuzjazm, szczery zapał i wolę czynu. Zapachniała wiosna całym urokiem swej krasy. Na zielone murawy boisk wyległy masy wybladłej młodzieży. Rozpoczęła się era życia pod znakiem odrodzenia fizycznego, sport stanął na usługi człowieka, podporządkowany jego wielkim zadaniom.

Powoli kształtuje się ideologia sportu. Powoli wartość wychowawcza sportu staje się oczywistą już nie tylko dla wybranych, lecz dla szerokich mas poszczególnych społeczeństw.

Powstaje koncepcja „ducha sportowego“, która charakteryzuje moralną wartość wychowania fizycznego i sportów. Twórcy idei sportów podciągają

pod pojęcie owego „ducha sportowego“ następujące walory moralne:

a) prawdę wewnętrzną i zewnętrzną, a więc: zaprzestanie kłamstwa, oszustwa i t. d., oraz wytwarzanie w sobie właściwego pojęcia o swoich zdolnościach i swej przydatności społecznej;

b) uprawianie tylko „czystej“ t. zw. lojalnej, rycerskiej, uczciwej gry;

c) cnoty charakteru, z uprawy sportów wypływające, a więc: odwaga, siła woli, pogarda bólu i niebezpieczeństwa, opanowanie nerwów, wytrzymałość, pogoda ducha.

Ciało, dobrze wyćwiczone, higienicznie utrzymane, silne, zdrowe i piękne — służyć ma człowiekowi dla tem większej możności rozwinięcia wszystkich jego władz umysłowych i wartości moralnych.

Omówiliśmy pokrótce zasadnicze tezy idei sportów. — Są one tak jasne i tak wymownie świadczą o swej wartości, że przecież nie wymagają komentarzy.

W realizacji idei sportów rolę olbrzymią odegrać może kobieta. Twórcy idei tej nie kryją przekonania swego, że urokiem moralnego piękna sportu należy otoczyć przedewszystkiem dziecko od jego lat najmłodszych. Któż w sprawie tej może mieć więcej do powiedzenia, aniżeli kobieta, — o ile lekko myślnie nie wyrzeknie się głosu w tej tak wielkiej sprawie.

Omówiwszy w artykule niniejszym ideowe podstawy sportu, zajmę się w artykule następnym zagadnieniem praktycznym sportu dla kobiet. Rozwiniemy je na tle, zarysowaniem wyżej. *K. Muszałówna.*

WOBEC BEZROBOCIA KOBIEC

(Wywiad z p. Władysławą Zarembiną)

Kłęska bezrobocia, szerząca się, zwłaszcza w ogniskach przemysłowych, w wyższym stopniu dotknęła kobiety, niż mężczyzn. Wprawdzie statystyki urzędowe nie dzielą nigdy bezrobotnych na mężczyzn i kobiety, jednakże wobec faktu, że przemysł włókienniczy, który najbardziej zachwiał się w ostatnich czasach, zatrudnia więcej kobiet, niż mężczyzn, twierdzenie nasze musi być zgodne z rzeczywistością życia. Do robotnic, pozbawionych pracy dodać trzeba rodziny robotników bezrobotnych — żony, córki, wydane na pastwę nędzy i głodu.

Bezrobocie obecne nie tylko robotników fabrycznych, ale i inteligencję pracującą pozbawiło zwykłych zarobków. A wśród inteligencji, jak wiadomo, ofiarą redukcji padają zawsze najpierw kobiety.

Wszystkie te rzeczy razem wzięte składają się na przesmutne zjawisko. Tysiące kobiet ze świata pracy głoduje. Wśród mdlejących z głodu na ulicach Łodzi i Warszawy, przeważają kobiety.

Za tym pochodem nędzy ciągną hieny. To żniwo dla stręczycieli i stręczycielek nierządu, dla handlarzy, kupujących ciało kobiecym! Jest faktem, że ciemnych osobistości z międzynarodowych spekulacji kręcą się obecnie po Warszawie i innych miastach naszych całe zastępy. Przy zupełnej bezkarności odbywa się polowanie na głodne dziewczęta. Słowa nasze potwierdzić może każda przystojna dziewczyna, cytując niezliczone przykłady zaczepki ze strony niezna-

nych indywidualów, proponujących im świetne zarobki zagranicą, albo nawet w kraju... pod wiadomymi, a dla niektórych utajonymi warunkami.

Dowiedziawszy się, że Towarzystwo Ochrony Kobiet, zdając sobie sprawę z okropności sytuacji, postanowiło rozszerzyć swoją działalność i w tym celu wydelegowało na prowincję p. Wł. Zarembinę, członkinię Zarządu Tow. — pośpieszyłam do mieszkania szanownej delegatki, by zasięgnąć informacji o rezultatach jej objazdu.

— Zwiedziłam Wilno, Grodno, Kowel, Łódź, Piotrków, Radom, Końskie, Skarżysko, Jędrzejów, Lublin — opowiada p. Zarembina.

— Do kogo zwracała się pani z propagandą hasel Towarzystwa?

— Do wszystkich wybitniejszych osobistości w danym mieście, a przedewszystkiem do urzędowych przedstawicieli władz.

Wszędzie też starałam się prace Towarzystwa naszego oprzeć na gruncie międzystronniczym i międzypartyjnym w przeświadczeniu, że obrona kobiet polskich przed nędzą i hańbą niewoli zajmować powinna w programach wszystkich organizacji i wszystkich stronnictw poważne miejsce.

— Jakiż oddźwięk znalazły słowa pani?

— Prawie wszędzie spotkałam się z zupełnym zrozumieniem sprawy. Wszędzie nędza kobiet rzuca się w oczy. Wszędzie, a zwłaszcza we wschodnich województwach,

w zatrwajający sposób szerzy się prostytutka, wszędzie rozlega się rozpaczliwy okrzyk: dziewczęta giną! Uważam, że prowincja jest zupełnie przygotowana do rozwinięcia szerokiej akcji w myśl naszych hasel. W niektórych miejscowościach zainteresowanie jest bardzo żywe. W Kowlu n. p. ks. Infułat Sznarbachowski, człowiek cieszący się ogólną czcią, uznaje sprawę za jedną z najważniejszych, obiecuje jaknajgorętsze poparcie ze swej strony i pomoc.

— Na czym polegałaby projektowana akcja?

— Przedewszystkiem na tworzeniu placówek zarobkowych, by pozbawionym pracy dać chleb do ręki. Zaniedbane u nas drobne rzemiosła: czapnictwo, szewstwo, guzkarstwo i t. p. mogłyby w okresie bezrobocia zapewnić skromne utrzymanie kobietom i uchronić niejedną od zastawionych na nią siდეł. Sztuka stosowana, przemysł ludowy, szkoły zawodowe — to dalszy ciąg naszych projektów.

— A w zakresie walki z handlem białymi niewolnicami?

— Tu ważną rolę odegrać powinny misje dworcowe i policja kobieca.

— Czy na prowincji wiedzą już coś o policji kobiecej?

— Nie tylko wiedzą, ale budują na niej wielkie nadzieje. Spotkałam się wszędzie z opinią, że tylko kobieta — policjantka może odpowiedzieć temu ważnemu zadaniu. Zewsząd też napłyną do Komendy Głównej P. P. petycje z prośba-

mi o odkomenderowanie drobnych oddziałów policjantek. Wszędzie jednak kładą wielki nacisk na staranny dobór sił kobiecych do kadr policyjnych. Policjantka musi być pod każdym względem bez zarzutu.

— Nie była pani w Zagłębiu?

— Nie byłam. Odkładam sobie tę podróż na inny raz.

— A, czy pani wie, że tamtędy podobno jawnie i otwarcie wywozi się żywy towar ludzki za granicę?

— Słyszałam o tem. Tam też powinny jaknajprędzej powstać Mis-

je dworcowe. Zdałby się też tam właśnie silny oddział policjantek, wyposażony w wyjątkowe pełnomocnictwa.

— Jaki jest stosunek Towarzystwa do Komitetu Walki z handlem kobietami i dziećmi?

— Towarzystwo przez delegatki swoje należy do Komitetu.



— A czy akcja jednej i drugiej organizacji nie koliduje niekiedy ze sobą?

— Ach, obszar pracy jest tak wielki i tak prawie nietknięty jeszcze, że o kolidowaniu niema mowy! Byle tylko jednym i drugim wystarczyło sił!

Dziękując pani Zarembinie za udzielone informacje, wyraziłam nadzieję, iż usłone umysły i zamknięte oczy zbudzą się, otworzą i dojrzą nareszcie najstraszniejszą z ran społecznych.

H. C.

R. M. B L Ü T H

KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

(KSIĘŻNA ZINAIDA WOŁKOŃSKA)

Kto wie, czy listu tego, lub jego treści nie znał autor „Do przyjaciół Moskali”. Uderza to, że później w „Literaturach Słowiańskich” podobny sąd wyraża o załamaniu się talentu Puszkina. Sprawiedliwość nakazuje dodać, że w 1837 r. czyli przed „Kurssem Literatur”, w bezstronnym nekrologu z „Globe”, Mickiewicz broni akurat przeciwnej tezy, tłumacząc, że przejściowe milczenie rosyjskiego wieszca oznajmiało początek nowego, bogatszego i głębszego okresu twórczości.

W każdym razie od ludzi zbliżonych z Wołkońską (choćby od Chlustinów, brata czy siostry) — dowiedział się o entuzjastycznym przyjęciu w Petersburgu wieści o „zdobyciu Warszawy” (wierszach i msza uroczystej). Trzeba także podkreślić — rys dwulicowości u Szewyrewa. Po liście do Melgunowa (na który odpowiedzią był cytowany przez nas list Malgunowa) w lipcu 1832 r.) pisze w stylu nieco przesadnym o swych dla Mickiewicza uczuciach.

„S'il m'était possible de vous embrasser ici avant ce temps là (przed wyjazdem do Rosji), que tous vos amis seraient contents que je leur portasse votre baiser”.

„Pierwszy list księżnej długo się błąkał, zanim mnie znalazł w Dreźnie” — pisze Mickiewicz 16 kwietnia 1832 r.

Mowa tu o liście z 24 listopada 1831 r. i 20 marca 1832 r.

„W chwili, kiedy mam odpisać, odbieram drugi list. Wszystkie li-

sty księżnej sprawiają na mnie takie same wrażenie, tchną jedynym ciepłem i mają ten sam blask, jak promienie jednej i tej samej gwiazdy miłości i dobroci...

Po przejściach strasznych zeszłego roku, po życiu zwierzęcem, albo raczej roślinnym w lasach poznańskich zaczynam czuć, myśleć, żyć. Muza po długiej nieobecności nawiedza mnie, aby mnie pocieszyć...

Moją idée fixe, moim ulubionym projektem było powrócić do Włoch, tak zbrzydziłem sobie wszystkie narody z tamtej strony Alp”. Faktycznie list z marca 1832 r., tchnął ciepłem i lśnił, „blaskiem miłości i dobroci”.

Otrzymał go w momencie przełomowym w chwili łamania się z buntem Konrada. Mógł mu poeta nasz niejedno zawdzięczać. Księżna śmiało apelowała do wiary żywej, tem chciała pokrzepić smutnego rozbitka.

„Vous êtes triste et je le comprends — pisała — mais vous avez de la religion, elle doit adoucir votre chagrin. L'amitié se charge du reste. Ouvrez votre coeur aux sentiments doux et fraternels.

Voyez le ciel: il n'y a là ni divisions ni frontières. Et vos frères ne sont il pas aussi partout où vous trouverez de l'âme et pensées...”

Przypomniała mu też tych, którym w Rzymie wiele zawdzięczał.

„Je vois souvent les Charlenska, les Ankwicz, l'autre jour nous avons

chanté des psaumes et parlè de vous. L'abbé Chołoniewski y était”.

Wtedy właśnie Mickiewicz gromy ciskał na Petersburg, na Rosję. Listy księżnej tembardziej były potrzebne, by łagodzić, uciszać zbolęłego wieszca polskiego.

Projektowane spotkanie w Dreźnie nie przyszło do skutku, księżna zachorowała ciężko i musiała powrócić do Rzymu.

Nie udało się także zrealizować „idée fixe”. Z Rzymu dla Mickiewicza szły groźne wieści i nowe próby.

Przedewszystkiem Encyklika z 15 lipca 1832 r. Poprzedzała ona drugą encyklikę „Mirarivos”, wymierzoną przeciwko Lamennais i „Avenir” (18-go sierpnia 1832). Zawierała najzupełniejsze osądzenie programu, który identyfikował sprawę odrodzenia religijnego ze sprawami rewolucyj narodowych.

A przecież przypominające ten program hasło rzuca i Mickiewicz w „Odezwie do Rosjan.” Czytamy tam:

„Ale wolność jest tem dziś, czem była wiara niegdyś. Czyliż rozszerzenie wiary stało się zgubą jakiegokolwiek narodu?”

Do wydania encykliki, potępiającej powstanie, przyczyniła się bardziej sprawa „Avenir”, niż wpływy wielkomocarstwowe.

Sprawę polską lameniści wysuwali do walki z Rzymem (mimo pozornego ultramontanizmu).

Encyklikę polską wydawano za bytności Lamennais w Paryżu. Służyć miała jako wstęp, do zasadni-

czej walki z niebezpiecznym dla kościoła ruchem rewolucyjnego katolicyzmu „Avenir“.

Przed wszystkimi, którzy żywy udział brali w „Avenir“ stanął bolesny problem moralny: zawrócić, czy zerwać z kościołem. Sam Lamennais, jak wiemy, wybrał to drugie. Napisał „Paroles d'un croyant“.

Utwór, jak dowiódł Manfred Kridl, pisany pod wyraźnym wpływem (literackim dodamy) „Książ Narodu i Pielgrzymstwa“.

Położenie Mickiewicza było bardzo ciężkie. Więcej go może z Lamennais łączyło niż innych.

Ale jeden po drugim z przyjaciół księdza apostaty zrywali z „mistrzem“. Zaczął ten ruch Jan Lamennais, publicznie wyrzekając się brata, opuścił go wreszcie i Montalembert.

Zmusiły go do tego właśnie „Paroles d'un croyant“. Jasnym się stało, że Lamennais, chce z kościołem zerwać.

Zarówno dla Montalemberta, jak i dla Mickiewicza, nowa Encyklika „była bolesną kropką nad i w tej sprawie“. Zawierała ona potępienie przedmowy Montalembert'a do francuskiego tłumaczenia „Książ Narodu“. Montalembert się cofnął. A za nim Mickiewicz.

W tym czasie, gdy polski uczeń Lamennais — przeżywa próbę wiary, Bóg doświadcza Wołkońską inaczej. Poważna choroba daje jej przedsmak śmierci. To jeszcze silnie ją utwierdza w wierze. Píše o tem najbliższemu wówczas człowiekowi — Mickiewiczowi.

„Voilà l'homme! il est un mystère et ce mystère ne nous sera expliqué que dans le ciel. Oui, cher, excellent Adam, je desirais et croyais mourir, il me semblait n'avoir qu'à prier encore une fois pour m'unir à mon Dieu, être en paradis et y attendre tous ceux que j'aime, tous ceux qui ont mes sympathies. C'est ainsi que dans mes fréquentes prières, lors de ma maladie et maintenant encore. Dieu m'a révélé et a promis à mon âme aimante la récompense d'une vie de sacrifices et de souffrances. Une âme passionnée doit souffrir.“

Kończy ten list przestroga dla, udającego się do zniechęconego Paryża, przyjaciela:

„Paris ni la France ne sont pas fait pour vous: il vous faut des

coeurs, du calme et un beau ciel. La rêverie au milieu des débats et des fureurs politiques est comme une âme aimante au milieu des courtisanes“.

O nastroju ówczesnym Mickiewicza pisze Bohdan Zaleski.

„Na modlitwie, w pracy, wśród uniesień religijnych i patriotycznych ubiegły trzy lata (od roku 1832 do 1835), trzy lata błogie, arcyurodzajne i dla niego samego i dla ówczesnych jego towarzyszy pielgrzymki.“

Pod jego wpływem nawrócił się Jański, Kajsiewicz i inni“.

Tworzyć się zaczęła „rodzina“ — domek Jańskiego.

5 stycznia 1834 pisał Montalembert do „złego para Jańskiego“: ¹⁾

„Czy to tak dotrzymujesz Pan uroczystego przyrzeczenia? Czy to tak Pan mi donosisz to wszystko, co się tyczy ojczyzny, emigracji i o tem, co robi Mickiewicz. O, zły, niewdzięczny, tak łatwo zapominający. Doprowadziłeś Pan do tego, żem się dowiedział przypadkiem w Dreźnie o śmierci Garczyńskiego. Ale co się stało z Mickiewiczem? nikt nie wie; a ja, którego o to wszyscy pytają ustnie i pisemnie, o wstydzie! odpowiedzieć nie mogę. Oto list, który mi przysłano dla niego z Wołynia, od dwóch osób, które on bardzo miłował hr. Rzewuskiej i od hr. Chołoniewskiego (krewnego Rzewuskiej, który po 1831 r. powrócił na Wołyń). Bądź pan łaskaw pewną okazją mu je przesłać. Piszą mi z Galicji, że chodzą słuchy, jakoby Garczyński był truty przez Moskali, i że rozpacz Mickiewicza była tak wielką, iż nie chce już żyć między ludźmi, ale usunął się w niedostępne miejsce, gdzieś w góry włoskie. Namily Bóg, donieś mi Pan ile w tem jest prawdy“ ¹⁾

O poddaniu Mickiewicza się kościołowi — pisze Kajsiewicz (1884) „idąc w ślady Fenelona poddał się z pokorą syna kościoła, i o ile tylko było w jego mocy, przeskaza-

¹⁾ Korespondencji t. I str. 171. „Historja Zgr. Zmartwychwstania Pańskiego“ ks. P. Smolikowskiego t. I str. 33.

²⁾ „Rim i Italja“, Soczinienja ks. A. N. Wołkenskago, czlena Rimskoj Arkadskoj Akademji. Moskwa 1845 r. 2 tomy

dzał przedrukowaniu tego dziełka“ (t. j. „Książ Narodu“ we francuskim tłumaczeniu). Przyszły wreszcie lata spokojniejsze. Pod koniec 1834 r. (19 grudnia) zawiązało się pod przewodnictwem Mickiewicza bractwo w „celu chrześcijańskim i polskim, wspólnego ćwiczenia się w pobożności, tudzież pobudzania ku niej innych polaków na emigracji. Nazwali się „Braćmi Zjednoczonymi“.

Z tego zaczynu powstał później „Domek Jańskiego“, a jeszcze później Zmartwychwstańcy.

Piszemy o tem, dlatego, że księżna Wołkońska, w latach 1838—40, czynną pomoc okazywała, przybyłym do Rzymu Zmartwychwstańcom, starającym się o zalegalizowanie nowego zgromadzenia.

W 1832 r. opuszcza jej Rzym syn wraz ze swym wychowawcą. Jada do Moskwy.

Wychowała syna na „szlachetnej rasy Rosjanina“, jak go określali Zmartwychwstańcy w 1838 r.; wpała w niego zasady szlachetnej tolerancji, wzgardy dla karjerowiczostwa. Wychowywała go tak, jak ją niegdyś wychowywał kulturalny ojciec. Książę Aleksander nie przyjął katolicyzmu. Bolała na tem matka, ale nie chciała mu narzucać wyznania, bo któregoby sam nie doszedł, na drodze religijnego nawrócenia. Choć pozostał prawosławnym, wiele dla katolicyzmu zrobił. Wydał bowiem w Moskwie w 1845 r. dwutomowe dzieło o Rzymie i Włoszech ²⁾, w którym na drodze źródłowych badań archiwalnych wyjaśnia wiele t. zw. drażliwych spraw jak: inkwizycja, jezuci, kultura średniowiecza, scholastyka, święci, asceza. Książę Aleksander w 1832 r. wstępuje na uniwersytet moskiewski dla dokończenia studiów. W tym samym czasie jego wychowawca Szewyrew obejmuje katedrę historii literatury.“

W 1834 r. kończy uniwersytet i wstępuje na drogę dyplomatyczną. Zostaje przydzielony do hr. Paskiewicza w Warszawie. To matce znacznie utrudnia stosunki z emigracją polską. Mickiewicz przestrzega Zmartwychwstańców, by nie wymieniali w listach jej imienia.

W 1835 r. księżna przyjeżdża do Paryża i widzi się z Mickiewiczem.

(c. d. n.)



MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

26

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

NA MARGINESIE — REPLIKA.

— „Pani tak źle mówi o kobietach! Świat kobiecy maluje pani tak czarno!”

Biorę w obronę kobietę dobrą od kobiety złej.

Znam cały legjon kobiet cichych i słodkich, jak gołąb bez żółci — znam cały legjon idealistek, których dusza pełna jest Boskiego, a życie służeniem Boskiemu — znam cały legjon niestrudzonych pracowników o charakterze z żelaza, dookoła których organizuje się i buja życie.

I napatrzyłam się, ile to wszystko cierpi, nie tyle z winy mężczyzn, ile z łaski kobiet.

Prymitywy kobiece: wyzyskiwaczki, zawistnice, spryciarki, intrygantki, flirciarki, które zdarłyby z ołtarza, byle mieć modne szmatki i potrzebne na to pieniądze, zasypują wyższe typy kobiece miłym piaskiem codziennych trosk, niewygód, przykrości i szykan... Tamte — za miękkie są, żeby się bronić — za dobre, aby skarżąc się, oskarżać — oczy wlepione w gwiazdy, nie pamiętają o sobie, nie widzą dołów, jakie im pod nogami kopie przewrotność i zawiść.

O tem nikt nigdy nie pisał — o tem nikt nie wie. Nikt nie zna tych za kulis świata kobiecego. Odślaniam je, oddaję na widok publiczny.

Wierna zasadzie, którą wygłosiłam w Aniele Wojującym: podejmuję walkę ze Złem w obronie Dobra.

A kto się tak bardzo obraża?!... No, to są nożyczki, które się odezwały, kiedy uderzyła w stół!

NA MARGINESIE ARTYKUŁU
POPREDZAJĄCEGO.

Czy chcecie państwo przyrzec się, jak się robi z honorem kobiety manipulacja szubrawa... w białych rękawiczkach?!

Proszę!

Gdy pani Z. znikła z horyzontu — On opowiadał po salonach i klubach:

„O! ja przeżyłem z tą kobietą czarowne, niezapomniane noce... Dzień się robił... gasły nasze świece... (w tem miejscu zasłaniał twarz ręką)...

Prawdę mówił spędził z nią „czarowne” i „niezapomniane noce” — ale nie we dwoje, jak to sugerowała słuchaczom jego perfidja — lecz w siedmioro, w dziecięcioro, w całym towarzystwie, do którego należał i mąż pani Z. i jej matka.

To trochę zmienia postać rzeczy — nieprawdaż?

Zbierał się u niej klub: kilku uczonych, poetów i artystów — odbywały się Florenckie wieczory. Pomysłu tym ludziom nigdy nie brakło: czem je wypełnić?!

Niekiedy oddawali się prosto muzycznemu pijaństwu — grali i śpiewali, jak słowik do utraty zmysłów. Czasem deklamowali kolejno najpiękniejsze wiersze świata, w kilku językach. Czasem rozprawiali krzycząc i wymachując rękami, jak studenci — wiodli spór o tak zwane przekonania, o ideologie i doktryny społeczne.

Zaśmiewali się niekiedy, układając do wspólnki satyryczne farsy, w których wykpiwali cały świat, nie należący do ich szczęśliwego klubu. A czasem każdy opowiadał coś ze swego życia... szczerze i rzewnie...

Z uderzeniem godziny dwunastej, z cichym jękiem dokonywanego nad sobą gwałtu, ktoś pierwszy dźwigał się z fotela z szeptem skazańca „już na nas czas!”

— „Tak, tak!” przywtarzała reszta, zrywając się gorączkowo... Ale pani domu ułaskawiała ich spojrzeniem — gestem wyciągniętych ramion sadowiła ich napowrót na miejsca, uszczęśliwionych, jak żaki szkolne. I ze zdwojoną werwą wznawiała się zabawa.

Tak, to były czarowne, niezapomniane noce!

Jeden z najpiękniejszych: Wieczór Ballad powstał dzięki Jemu! Zrawca literatur romańskich, utalentowany pisarz i świetny mówca, On opowiedział tak à l'improviste hiszpańską balladę o białych różach, które polewała łzami nieszczęśliwa hrabina Inez, pielęgnując je na pocerwieńniętych od dawności murach Castelu. Gdy stary, zazdrosny mąż zamordował ją w noc Zwiastowania — róże, które nazajutrz zakwitły, wyszły z pod ziemi zbryzgane jej krwią!... I od tego czasu po dzień dzisiejszy kwitną co roku te róże, całe w czer-

wonych płamach... Krew niewinną rzucając w twarz słońcu.

Na tę balladę odpowiedział orientolog balladą arabską... Jeden kończył, drugi zaczynał — przewijały się ballady hiszpańskie, włoskie, i bretońskie — a naprzemian arabskie, perskie i indyjskie.

Wypaliły się lampy naftowe, jakich używano wówczas... zapalono świece.

Świece dogorywały — dzień pobiełał szyby. Służba wносиła szumiący samowar, po krótkim, bardzo hałaśliwym śniadaniu całe towarzystwo ruszyło powozami za miasto. Na równej, jak salon, polanie dębowego lasu, ujawszy się za ręce toczyli szybko kręcące się ronda... jakiś obrzęd pogański ku powitaniu wschodzącego słońca.

Ci ludzie kochali się pomiędzy sobą, jak przypuszczalnie kochają się duchy — dzieląc się czystem weselem wiecznego piękna, zamkniętego w sztuce, naturze, w życiu i w duszy.

Ulubionym ich projektem była willa, opleciona glicynją, schodami, marmurowymi, zstępująca w błękit Śródziemnego, gdzieby zamieszkał wszyscy razem na zawsze — „duchowa rodzina” odcięta wysokim murem od całego świata — z napisem na wrotach: „Tu wstępkażdemu człowiekowi jest wzbroniony”.

Sława tych zebrań rozchodziła się szeroko, stały się modne — były marzeniem i zgryzotą snobów! Nie jeden byłby dał, Bóg wie co, aby być do nich dopuszczonym. Ale magnetyczny łańcuch dusz był zamknięty — uczestnicy strzegli dostępu zazdrośnie.

Przybysz mógłby obniżyć ich ton, bardzo wysoki, a bardzo prosty... odbarwiony absolutnie z wszystkich impulsów elementarnych, nie wylączając miłosnego...

Ale co o nich myślała służba?!

Co ludzie? — obrażeni niezapraszaniem, a jeszcze bardziej odmówieniem zaprosin.

Ci mawiali z błyskiem złośliwej domyślności w oczach: „Co oni mogą robić tak po całych nocach?!”

To też było im niezmiernie na rękę, gdy znalazł się Judasz (tam

gdzie jest dwunastu apostołów, Judasz zawsze się znajdzie) — który im kazał domyślić się tego, czego oni pragnęli się domyślić.

On, który był człowiekiem szlachetnym, stał się złym, z bólu! Na zbyt wielkie upokorzenie sam niebacznie wystawił swą dumę i cierpiał piekło!

Po kilku latach przeżytych w cudownym zespole, jak siedem tonów w gamie, jak siedem barw w tęczy — jak kwiaty związane jedną wstęgą w bukiet niebiańskiego aromatu, On raptem zerwał tę harmonję — szalał — w jeden wieczór zakochał się w pani Z. tak, jakby ją w ten nieszczęsny wieczór zobaczył po raz pierwszy.

! od tej [chwili] zaczął się o nią dobijać w sposób tak gwałtowny,

terrorystyczny, jakby zamierzał wzięść ją par force.

Kochał się, jak grand hiszpański z czasów feudalnych, któremu w głowie się nie mieści, aby nie do-



stała mu się kobieta, której on chce! Nie zachowując najmniejszego decorum, z pogardą dla najelementarniejszych konwenansów, ostentacyjnie wyprawiał takie awantury i szaleństwa, że zwrócił na swoją pasję uwagę całego miasta.

Ach, on się z nią nie krył, bo nie przypuszczał, bo mu to na myśl nie przyszło, aby on mógł być odrzuconym!

A gdy nareszcie musiał to sobie powiedzieć, że jest odrzuconym, że mur, to mur, którego on głową nie przebije...

Wtenczas chodziło mu już tylko o ratowanie śmiertelnie zranionej ambicji.

I rzucił się sugestjonować ludzi, że było to — czego nigdy nie było. (c. d. n.)

OKOLICE BERNA

GOSPODARSTWO. SER. CYDR.

Nasz autobus pędzi po szosie białej i krętej.

Dokoła szare skały, szumiące potoki, wodospady, kamienne mostki, zielone pastwiska. Chwilami z za ściany popielatych gór wyglądają dalekie, białe wierzchołki. Tylko chwilami, gdy chmury się rozsuną. Bo deszcz poprostu znęca się nad nami. Ot, i teraz, tu z tego zakrętu doskonale widać Jungfrau. Ale my nie zobaczymy nic, bo chmury zwisły nisko, i deszcz zalewa szyby autobusa. Mój Boże, mój Boże.

Słychać dzwonki krów na pastwisku. Dzwonki melodyjnie dobrane w akord.

Wczoraj oglądałam takie dzwonki na wystawie rolniczej, i widziałam je też na straganach, na targu. Niektóre z nich były przesadnie wielkie, takie, jak głowa dziecka, wisiały na rzemiennych obrożach, szerokich na dwie dłonie — zupełnie nieprawdopodobnym mi się wydało, że krowy mogą je dźwigać u szyi.

A dziś sama widzę i słyszę: właśnie nasz autobus stanął, bo stadko krów przechodzi przez drogę. Simenthalery białożółte, olbrzymie, jak słonie. Idą powoli, poruszając łbami; przy każdym kroku dzwonki dzwonią cicho i ślicznie. Tyle w tem jest wdzięku, nie dającego się zapomnieć. Ilekroć pomyślę o Szwajcarii, zawsze te dzwonki... Mijamy wioski i miasteczka. czy-

ste i ładne. Białe domki, śpiczaste dachy, jasne szyby, czerwone kwiaty w oknach. Góry, skały, strumienie, łąki, dzwonki krów — wszystko śliczne, wykończone, dokładne, przesadnie malownicze — tak, że aż nie robi wrażenia rzeczywistości. Poprostu, jak na obrazku, na obrazku z opakowania tabliczki czekolady.

Przyjechaliśmy do Grossried. Stajemy przed domostwem gospodarza Marbacha. Wsiadamy.

Gospodarz oprowadza nas, pokazuje. Pod jednym oto dachem, w jednym ogromnym budynku ma wszystko! dom mieszkalny, oborę, stajnię, stodołę, szopę na narzędzia.

Część mieszkalna, to piękna „szwajcarska“ willa, radosna, biała i pełna kwiatów. Reszta budynku, wzniesionego w podkowę, utrzymywana na tym samym poziomie, tylko bez balkonów i kwiatów. Wszędzie elektryczność, wodociągi, i nieprawdopodobna czystość.

Stoimy na drewnianym terasie, pod dachem rozpostartym na słupach, przed oborą, czystą, jak salon, pachnącą górskim sianem. Patrzymy na krowy, wracające z pastwiska.

Znowu te kolosalne Simenthalery, o przesadnie wielkich wymiarach.

Gospodarz opowiada nam, że ma 40 ha ziemi, z tego 25 ha na pastwiska, 15 ha pod uprawę. Trzyma 75 sztuk bydła, 7 koni roboczych i kilkanaście świń, dla spo-

trzebowania odtłuszczonego mleka. Dokupuje rocznie jeden wagon makuchowi sprowadza 25.000 kg. sztucznych nawozów. Powodzi mu się doskonale — o czem nie potrzebuje nas upewniać. Dość spojrzeć.

Dobrobyt, spokój, sytość, nawet bogactwo. Mieszkanie ślicznie urządzone, utrzymywane w największym porządku i upiększane przez kobiety, które tem się wyłącznie trudnią. Zupełnie zawodowo — tak, jak w Danji. Bo przecież nie pracują ani przy inwentarzu, ani w polu; wszystko to robią sami mężczyźni. W Danji również nie widziałam ani jednej kobiety zatrudnionej w obejściu.

Wszystkie siły poświęcają gospodarstwu domowemu — i wszystko idzie, jak w zegarku.

Mleko wysyłają do pobliskiej spółdzielni, gdzie wyrabiają ser.

Ser szwajcarski! Zaraz w sąsiedniej wiosce, czy też miasteczku Ueberstorff zwiedzamy taką spółdzielczą fabrykę serów. Całe królestwo zbiorników, basenów. maszyn, wirówek — a z tego wszystkiego wynikają wielkie, jak koła młyńskie, sery, ułożone rzędem na półkach w piwnicy.

Leżą sobie tak przez rok i dłużej, i wyglądają całkiem niewinnie. A przecież stanowią niewyczerpane źródło bogactwa kraju.

Bo pomyśleć tylko, że przeszło połowę wartości całego wywozu ze Szwajcarii (153 miliony franków) stanowią wartość wywozu sera (81 mil-

jonów). Zużywa się na tę produkcję około miljarda litrów mleka rocznie.

Opuszczamy królestwo serów i jedziemy do miasteczka Guin. Tu wchodzimy do wielkiego budynku, przesiąkniętego zapachem jabłek. Stosy, góry całe jabłek i gruszek. Z 12 milionów drzew owocowych, które posiada Szwajcaria 9 milionów przypada na jabłonie i grusze. Z tego 12550 wagonów,

każdy po 10 ton owoców — idzie na wyrób cydru.

Fabrykacja jest bardzo prosta: jabłka myją się w płóczkarni, krają na kawałki w innej maszynie, cztery razy idą pod prasę, coraz to silniejszą.

Częstują nas na próbę różnemi odmianami cydru, tak jak w Ueberstorff częstowano nas różnemi odmianami sera. Musimy już wracać

do Berna, bo wieczór zapada. I właśnie wypogodziło się, rozjaśniło trochę, tak że starożytny zamek na górze w miasteczku Lanpen wygląda, jak w bajce, w przejrzystym, różowym zmierzchu.

Gdyśmy przyjechali do Berna, w dole nad Aarem było już ciemno, ale góry rysowały się jeszcze ostro na jasnym niebie — po całodziennym deszczu wrócono na jutro pogodę.

Helena Boguszevska.

ZOFJA ROŚCISZEWSKA

Nad grobem Nieznanego Żołnierza.

I.

Matka Boska z bliznami na twarzy
I serca co w Polskę wierzą
I Święci co zesłali z witraży
Stanęli przy tobie Żołnierzu!
I duchy mężnych rycerzy,
Co życie Ojczyźnie oddali
W spiżu hełmów i w srebrach pancerzy
Przybyli do Ciebie z dali.
Szeleszczą skrzydła husarzy,
Cień błękitny barwi kamień płyty,
Zamyślona stanęła na straży
Wielka Przeszłość Rzeczypospolitej.
O Żołnierzu! w twym milczącym grobie
Leżą Miłość, Ofiarność i Męstwo,
W mroku arkad składam dłonie obie:
Módl się ze mną o Polski zwycięstwo!

II.

Czyś miał oczy niebieskie, polskie, typowe,
Jasne oczy żołnierskie, a włosy płowe? —
Powiedz, jaki ty byłeś bohaterze nieznanym?
Czy męczyły cię bardzo śmiertelne, krwawe, rany,
Czyś umierał szczęśliwy za Polski sprawę
Kiedyś upadł raniony w kwitnącą trawę?
Żołnierzyku nieznanym — wielki symbolu —
Czy ci wody kto podał na strasznym polu?
Czy kiedyś dom opuszczał matka ciebie żegnała
I czy ciebie na świecie jaka dusza kochała?
Może nikt cię nie kochał — ale Polska dziś zato
Sercem swoim cię darzy, jak mistyczną zapłatą.
Śpij spokojnie! Krzyż mężnych czuwa tutaj na straży,
I choć w Ojczyźnie wolnej nie znał nikt twojej twarzy
Polska wielbi twą pamięć — Polska — twoja rodzina
A Orzeł Biały skrzydła nad twym grobem rozpina.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Nowela odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie Koła Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego

Z D R A D A

(nowela)

4

— Czy ta niewiasta jest tutaj?

— Pani Wertówna? Czy tak?

Czółno, z godnością, wyjmując z teki plikę papierów i rzuca na stół przed oczy kontrahenta. Niecierpliwie zgarbił przez brudne ręce paczki dokumentów i nerwowo sortyment. Czółno śledzi w gorączce pracę łakomych rąk, łowi pożądliwe spojrzenia i drwiące uśmiechy, przewijające się na wargach rudego. Przestaje znów panować nad sobą: każde głodne spojrzenie brudasa na akta otwiera w duszy kapitana niebo radości i nadziei, każdy łapczywy ruch jest sygnałem bliskiego szczęścia, ale każdy ironiczny uśmiech na oślinionych wargach rozwiera w sercu kapitana otchłań rozpacz.

— Sabino!

Wyrwa go z tych zmagani chrypliwym dyszkantem.

— Wszystkie stare, bez znaczenia... ordre de bataille... mamy nowe...

— Nie wyszło jeszcze — oponuje Czółno, jak niefortunny sprzedawca, chcący koniecznie zbyć swój towar.

— Przynieść? — zapytuje rudy.

— Nie trzeba.

— Mapy!

Mapy! Ostatnia nadzieja! Zdawało mu się, że w oczach żyda zabłysnął ogień zadowolenia. Obejrzał starannie pieczęcie, wyrównał fałdy map, popatrzył, popatrzył, pokijał małą łepetyną, a potem zastukał dwukrotnie w ścianę kolbą browninga.

Czółno wstrzymał oddech.

— Po nią?

Niel nie po nią!

We drzwiach staje jakaś wysoka, łysawa postać o minie uczynnego i delikatnej, przeświecającej niemal cerze.

— Nasz rzeczoznawca! Ekspert wojskowy — prezentuje rudy.

— Rze—czo—znaw—ca!

Kapitanowi wszystka krew ścieka do serca. Dwie pochylone przed nim, nad stołem, głowy zmieniają się w dwie potworne ropuchy, skaczące w niezadarnych podskokach po mapach, napęczniałe od cynizmu i obrzydliwości.

Głowy pęcznieją coraz bardziej, rosna! rosna! rozdymają się w potworne żabie kształty. A z nad głów, prosto w jego czoło, wycelowane małe oko parabellum.

Naftowa lampa kopci smugami sadzy, nad stołem unosi się rój

filujących punkcików czadu, niby armja czarnych djabłów, odprawiających sabat.

Zmęczone oddechy żydów przecinają zgęszczoną ciszę.

Szczur śmignął z kąta w kąt.

Wreszcie głowy odrywają się z nad stołu, i zły, szyderczy chichot pluje kapitanowi w twarz. Młody uczony wychodzi lekceważąco z celi, wzruszając wzgardliwie ramionami.

— Dobry handel pan chciał zrobić, kapitanie, owszem... dobry. Ale i my „niezłe kupcy"! Mój towar, pan kapitan, pozwoli... Mój towar, ja nie oszukuję! Pan kapitan zechce łaskawie zostawić swój browning na stole, o, tak... Ja pokażę, proszę za mną!

Wyszli na korytarz. Czółno, jak zahipnotyzowany.

— Wszystko przepadło! wszystko przepadło! — buzuje mu piekielnym żarem pod czaszką.

Otarł się o dwóch drabów, wartujących na korytarzu.

— To może ci sami z pod cmentarza...

Otworzono mu w jakichś drzwiach małe, okrągłe okienko. Sabina! Spała, w ubraniu, na dużej podniszczonej kanapie, okryta grubym włochatym pledem.

Na stole też naftowa lampa. Obok lampy czarny kot, który na szmer odchylanej zasuwki okienka otworzył zielone ślepie, żygnął z nich fosforycznym gejzerem i wygiął się pałakowato w nieprawdopodobnie wysoką literę O.

Czółno rozejrzył się wokoło. Pięciu chłopca w wąskim korytarzu czyha na jego jeden niebacznym ruch. Wrócił, zataczając się. Sabina!

A Chińczyk wciąż celuje! Zdawałoby się, że ćwiczy się w sztuce strzelania. Celem — głowa kapitana.

— Strzel, łotrze, strzel nareszcie! Twoje jedno marne pociągnięcie cyngla. Huk i trochę obłupanego z cegieł pyłu!.. Sabina się nie domyśli. Jakaś tam zwykła egzekucja!

Naglemi chwytami woli wnikał w siebie i czuł wtedy, że stany świadomości i majaczeń następowały w nim kolejno, bez wstrząsów, jak u chorego, wzorem rozkołysanej energii opadających i wznośzących się fal morskich.

— Jestem chory... Czuję w głowie ocean.. Sabine... ocean...

A teraz znowu spazm bolesnej świadomości, teraz czuje wyraźnie, rozumie jasno, pojmuje przenikliwie

i wnioskuje z krytycznej oceny stanu rzeczy, że sytuacja jest bez wyjścia... że oni zażądają niemożliwości... czegoś, co się nie da zrobić!

Czółno pytał spojrzeniem. Rudy podsunął mu mapy.

— Ja niewiele... niewiele! Pan kapitan przed miesiącem wrócił z twierdzy Z. nad granicą.

Uśmiechnął się:

— Ho, ho, my wszystko wiemy! Brak nam pewnych szczegółów... To też, proszę, pan kapitan narysuj tu, o tu — pokazywał palcem na mapie — narysuj pan fortyfikacje, wzniesione w ciągu ostatnich miesięcy.. umocnienia... obsługa... ile karabinów maszynowych, ile armat? Co? Pan słucha, prawda? Ile pociągów pancernych pod starym fortem, na stacji w Z., ile hangarów, możliwie ilość płatowców...

Przerwał. Popatrzył na kapitana. Twarz skurczyła mu się w grymasie nienawiści.

— Ale, jeśli pan i tym razem oszuka... My się dowiemy kiedyś, bądź, kiedykolwiek, później, wcześniej... Będzie źle! Prześlemy pański elaborat do sztabu — sam pomysł zdrady zdyskwalifikuje pana!

— Trzeba pisać prawdę! — wrzasnął.

Czółno uśmiechał się blade.

— A prócz tego z naszej strony — będzie jeszcze gorzej! Zemsta! Aż do śmierci! Mamy swoich ludzi! Nie cofniemy się przed niczem! Zemsta!

Drżał fanatycznie, oczy iskrzyły mu się i mętniały, zasłaniane bielmem wściekłości. Uspakajał się powoli i, widząc obojętną minę kapitana, rozpoczął na nowo, w nadziei, że Czółno zaaprobuje, spokojnie i uprzejmie:

— Wysoka gra! hazard! cóż zrobić! Stawiamy wysoką stawkę: taka piękna kobieta.

— Czółno, niby uderzony obuchem, wycedził:

— Żydziel!

Ten, jakby nie słyszał, i ciągnął dalej:

— Wiemy, że sztab opracował niedawno szczegółowy plan obrony przyczółków pod K. Bardzo nas to interesuje. Drobiazg, ale, pan rozumie, w imię interesów ludu pracującego...

Te przyczółki, to nasze drzwi do Europy! Pan ma stosunki w sztabie. Pan da mi słowo honoru, że po powrocie z narzeczoną do Warszawy, po powrocie... natychmiast

wypuścimy... razem z panem kapitanem. Powiedzmy, w dziesięć dni po powrocie... oficerskie słowo hono...

Nie skończył, bo Czółno uderzył go na odlew w twarz. W tej chwili huknął strzał. Koło ucha kapitana bzyknęła kula z charakterystycznym złym sykiem. Żyd osłupiał. Nagle rzucił się na celującego w dalszym ciągu Chińczyka, rycząc:

— A, kanalja, won! won! O byle co strzelał Wot i wydumał, chamskie nasienie!

Po chwili Czółno ze zdumieniem zauważył, że chińczyk czmyha na korytarz... zauważył, że kilka osób otacza wychodzącego... jak przez mgłę widział, że żyd robi sobie masaż obitego policzka, filozofując przy tem. Wyczerpany, nie słuchał prawie. Zastanowiła go przez chwilę pobłażliwość żyda.

— Przecieżem go wyrznął niemożliwie silnie.

Żałował teraz swego uniesienia: on i ten policzek zdyskontuje na swą korzyść.

— Trzeba było bardziej dyplomatycznie... bardziej dyplomatycznie... przecież to „wysoka gra“... o Sabine... Czółno z przerażeniem

czuje, że znów grunt zapada się pod nim, a krwawy płomień pod czaszką przepala mu myśli na popiół. Anemja mózgu. Przestaje myśleć i nie może dojrzeć żadnego wyjścia z tej grząskiej, upokarzającej sytuacji. Jak w sieci. Jakieś wspomnienie i jakieś wyobrażenie, które już było i przeszło, wyobrażenie własnej bezsilny, tragicznej niemocy, objawiające się, jak piłka, pod czerepem, od żyda do Sabiny, od Sabiny do żyda.

— Błąkał się w labiryncie drogiego imienia.

— Nie mam dla ciebie w tej chwili żadnego sposobu ratunku. Jedno mi pozostało: życie... ale — i ono na nic. Jestem bezsilny, Sabino, bezsilny!

Żyd udawał obrażonego.

— Ja panu zrobiłem delikatną propozycję, a pan zaraz bije! A tu chodzi o nie byle co: dla pana kobiety...

Czółno uczył zimno, przenikające go do krzyża.

— ...a dla mnie, no, nie mówmy o mnie... mówmy o panu.

— Niema o czem mówić! Nie zgadzam się, uciał sucho.

Żyd odskoczył, jak oparzony.

— Co znaczy: „nie zgadzam się“. Ja to się mogłem zgodzić na takie ordynarne obicie, a pan... „nie zgadzam się“ i już! Koniec! Moje jedno słowo, mój jeden ruch i pan by leżał sobie spokojnie na ziemi od drugiej kuli mojego chińczyka!

To się nazywa polska wdzięczność!

— Zapłacę, ile chcecie.

— Pieniądze! Tu nie idzie o pieniądze! Tu delikatna materia! Wymina!

Czółno potrzęsnał głową.

— Tak poco pan tu przyszedł?

— Zapłacę! Zapłacę, ile chcecie! Dużo! Bardzo dużo! Ile? Ile chcecie?

Żyd ani myślał słuchać.

— Pan narysuj... Spróbował ostrożnie.

Czółno ukrył twarz w dłoniach.

Był o kilka kroków od niej... O kilka kroków... i nie mógł nic. Nie czepiała go się nawet żadna zuchwała myśl, nie przychodził żaden pomysł podstępny. Widział się otoczony przez legion drabów! Nic to! Ale cóż można samemu we czterech ścianach! Zaciskał pięści do krwi w bezsilnej pasji. (c. d. n.)

H A N N A S K A R B E K

PAN W FUTRZE

(nowela)

3

Czerwony fajerwerk trwa...

Oślepieni podróżni ujrzą naraz trójkę karych koni, pędzących po czerwonym śniegu. Konie będą miały ogniste grzywy i kopyta. Nabiegłe krwią pyski i ślepie. Po tap wysoko na tronie woźnicy siedzący powiedzie rydwan z piekła rodem. A w prze wyobraźni dyrektorówny zaświta, zasłyszany przez piąte—dziesiąte krwawy moment z życia fabryki. Oto wysoko, na rusztowaniach, na żelaznych czopach zawisła gruszka — konwertor, ogniotrwała cegła wysłana. Gotuje się w niej i bulgoce surowiec z metalami zmieszany. Aż się przetopi na ciecz gęstą, do białości rozpaloną.

Powolna wysiłkom mięśni ludzi, podda się gruszka naprzód. Zakolysze się wolno i pocznie się przechylać coraz niżej, coraz wyraźniej — aż wypłyje ognistą lawinę, rozbryzgując dookoła palące iskry.

W czerwonym blasku ujrzy się wysoko na mostkach zawieszonych

nawpół nagich robotników. Czerwoni są, mocni i muskularni. Na piersiach porośli włosom.

Ruchy mają zdecydowane. Oczy bez litości. Najstarszy zaś z pośród nich, zawieszony tuż nad otworem, wpatrzy się chciwie w piekielne wnętrze konwertora. Na oczach ma przepaskę z zielonych szkielek.

Ci cuchnący, ci brudni ludzie, od których lepiej być dalej, w czerwonym momencie krwawego trudu zdolni są do okrucieństw. Właśnie kiedyś, gdy żar prażył ich nagie ciała, a krew zalewała im mózg i świeciła się przez oczodoły, w przystępie szału walki o byt — wrzucili do rozhybotanego, rozżarzonego do kilku tysięcy stopni konwertora, rozkołysawszy poprzednio na barach, opierającego się rękami i nogami człowieka, starego swego szefa.

Rozpuścił się... Zmieszał się w kotle z roztopionym surowcem. I cieczą gęstą, ognistą został wy-

lany w przygotowane formy, aby w nich szejść na wieki.

To było naprawdę, kiedyś, bardzo dawno, gdy Maja była maleńka, gdy się zrywała po nocy i krzyczała przez sen — „ludzie czerwoni! — zabraniam wam wywozić na taczce mego Tatusia! i nie pozwalam wam nigdy — wrzucać do gruszki mego Tatusia, słyszycie — wy!“

* * *

Fajerwerk zgasł. Oczy oślepiła nieprzenikniona czarność. Wirowały tylko kółeczka żółte, zielone, amarantowe. Konie prychnęły. Drogi dalej nie było. Wjechano w stepy. Fabryka powoli uciekała wstecz.

Stepy bezkresne, w białem futrze niedźwiedzia, skrzące się brylantami. Stepy dalekie, swobodne, hulaszczce — a nad nimi kopuła czarna, przepastna. Do koła siniejące zasy, puszystej, waty i skry.

Pędzi trójka z grzechotem — aż migają podkowy.

Bucha para z końskich łbów. Suną sanie. I grzechotki wciąż grają: dzień-dzoń-dzuń — dzień-dzoń-dzuń. Tak śpiewają.

Nie trzeba chodzić do Piekielnej fabryki. Nie trzeba myśleć o czerwonych, ważących się na wszystko, ludziach. Jest właśnie biało — i srebrzyście.

Bezpiecznie i pachnąco. W sianach głos melodyjny nuci łagodną kołysankę i usypia niepokoje: dwudziestopięć-lecie huty D...skiej, akcjonariusze przybyli z Belgji. Przywieźli ze sobą order. Tualety sprowadzono od Wertheim'a. Przybory kotyljonowe z Paryża. Kawior ze stolicy nadnewskiej. Cukry od Fuksa. Owoce z Krymu. „Bałabuchę” z Kijowa..

Głos matki wibruje w radosnym podnieceniu.

— Tango — Andrzej Sperreli — tuberozy, — szepcze Maja do siebie.

Naraz głos ojca, jakiś naraz obcy i nieprzyjemny rzuca twarde słowa.

— Nic nie wskórałem, Jakub musi iść! Cała podpora i duma staro. I co wojsku po takim chuderlaku?

— Przecież on ma wadę serca, — ziewa starszy panicz.

— I płuca jak rzeszoto... Cała nadzieja i opieka starych. Słyszysz laleczo? słyszysz...

Kogóż może obchodzić w tej chwili nieszczęśliwy Jakub, syn nurka fabrycznego, świeżo poborowy, w codziennym życiu korepetytor malców.

II.

Zdaleka, niby płonąca latarnia — świecił pałacyk. Bliżej ujrzało się na pulchnym śniegu, szeroko zatoczone srebrzyste koło. Zaczarowane koło niecodzienności.

Jeszcze z sanek wysiadło się przytomnie.

Lecz już w westybulu, w smudze ostrego światła, przestała istnieć powszedniość.

Znajomi i nie, obcy, których się widziało po raz pierwszy i ci do znudzenia swoi — przestali być nagle zwyczajnymi ludźmi. Wcale nie pasowały do nich oklepiane imiona i nazwiska. Wszyscy zdali się być bezimienni. Wszyscy jakby wycięci z modnych żurnali. Zupełnie tacy, jak ci z przed laty, kiedy naprawdę powycinani i naklejani na tekturki, w zaczarowanym, świecącym kole największej lampy, balowali, jak prawdziwi. Teraz ci żywi — uśmiechali się tak samo: dyskretnie i jednakowo. Ruszali się sztucznie. A głosy mieli zciszone i nienaturalnie głębokie. Błyski migotliwych, kłujących iskierek oślepiły im oczy.

Zapachy futer i uperfumowanych ramion uderzały o drgające nozdrza. Melodje, słyszane nie wyraźnie, niby przez watę w uszach, śpiewały drażniąco.

Grano: „grona akacji”... naraz: „chryzantemy przekwitły” i znowu: „białej akacji, grona pachnące”...

Kobiety wstępowały wolno po schodach, prężąc się ku górze.

Schody nie były marmurowe, jak w pałacu Zuccari. Były dębowe, wywoskowane. Środkiem zielonej ścieżki, wlokły się różnobarwne treny wieczorowych tualet.

Oto czarny, ciężki aksamit — niby lśniący foka. A obok rdzawym futrem obramowany złocisty brokat. Wyglądał zupełnie, jak skradający się ostrożnie, wlokący puszysty swój ogon — lis.

O poręczce czepiały się wiotkie wstęgi — wodorosty, barwy vert-demer. Powiewny obłok kremowej gazy napróżno silił się tłumić kontrasty. Właśnie obok, jaskrawa, niby wewnątrz rozłupanego granatu, aksamitna róża na blado liljowej szacie — zaczęła wyzywać.

W ślad za słupem, owiniętym szczelnie w czarne misterne chantilly, stąpała z różowym uśmiechem na uperfumowanych wargach — Maja.

Przez nawpół zmrużone powieki dojrzała błyskawicznie wśród sztywnych fraków wyjątkową sylwetę Andrzeja.

Przebiegła bardziej wtył głowę: nie oddała ukłonu. Dlatego, że muzyka, niby zdaleka, niby przez watę w uszach śpiewała ogłuszająco. I dlatego, że skrzące się kamyki na czarnych koronkach matki cięły w oczy. I dlatego że...

* * *

Buduar damski wyglądał, jak ściśnięty mocno bukiet różnobarwnych kwiatów.

W jednym kącie trzepotały się panny. Unosiły wysoko powiewne spódniczki i chwaliły się pierwszemi, jedwabnemi dessous. Zlewały się obficie wonnościami. Najbardziej perfumowały wachlarzyki. Naiwnie, otwarcie wykrzykiwały całą litanję męzkich imion.

Maja została wnet otoczona. W podnieceniu, żadna się nie witała. Paplały. Chwaliły się byle czem.

Słuchając je Maja ostrożnie gryzła usteczka. Myślała z radosną dumą: „uroslam... czy odczułyby one d'Annunzio? a i wogóle”...



Uwagę jej po raz pierwszy w życiu przykuwały inne kobiety: młode mężatki. Rozkwitłe, jak brzośkwinie, Obnażone śmiało. Tajemnicze, a nieprzeniknione. Nie zdradzały się z pośpiechem. Uważnie poprawiały wycięcia u staników. Zlekka karminowały usta. A wśród nich jedna, w koronkach champagne z bukietem herbacianych róż. Wachlowała się wolno, olbrzymim wachlarzem z pawich piór.

I te usta nawpół rozchylone, wyrysowane zadziwiająco.

I spojrzenia stalowych oczu.

Pani Róża była najpiękniejszą. Pani Róża była najwspanialszą.

Pani Róża była starszą siostrą Andrzeja.

Przy przywitaniu Maji zabrakło odwagi pocałowania ust pięknej kobiety.

Zdumiewające! którego dnia? której właśnie godziny, czy minuty? Po którym właściwie posiedzeniu, spojrzeniu, czy uśmiechu — ten Andrzej? rówieśnik i codzienny partner tenisowy, utrapieniec siostr...

Ale wśród kilkudziesięciu młodych i pięknych nie było ani jednej Heleny Muti. Nie było ani jednej.

Właściwie, gdyby nie krótkka i nawianna różowa sukienka...

Trzymana, wiedziona za rękę przez panią Różę, oceniona najdziwniejszym wachlarzem z pawich piór — wsunęła się Maja w zaczarowane królestwo muzyki i wiru. I znowu jakoś nieumyślnie, zamierzając ze wzruszenia — nie oddała ukłonu stojącemu tuż-tuż, pozującym na lowelasa, we wspaniałym fraku — Andrzejowi.

* * *

Bał się rozpałał powoli.

Musował, podnosząc się coraz wyżej, wyżej, jak bursztynowy szampan w kryształowej czarze. Kobiety piękniały. Rozkwitały, niby kwiaty w promieniach prażącego słońca.

Mówiły wyjątkowe, niecodzienne słowa. Odkrywały w sobie i ujawniały najrozkoszniejsze wabiki.

Gdy Maja tańczyła Tango, przelewała się w ramionach brata w prawo, to w lewo. Unosiła się wolno ku górze, spadała nagle wdół. Płynęła spokojnie, to znowu wartkim, zawrotnym prądem. Bujała się niby wiotka roślina w aromatycznym, gorącym powietrzu nocy.

Gdy tańczyć przestała — zachwyty zebranych ujawnił się spontanicznie. Burza oklasków i wykrzykników wypełniła salę. Poczucie pychy rozkosznie łechtalo gardło.

Usta dziewczyny rozchyłały się w uśmiechu — ślepym, oczy nawpół przymknięte — były nieme. (d c n.)

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

22

VIII.

MAMA JEST JUŻ TAKA
ROZSĄDNA!

Pod łagodnymi promieniami jesienno słońca przechadzała się po parku Carlepoint, wiejskiej posiadłości baronostwa Finguerlin, barwna grupa młodzieży, a wśród niej piękna zawsze Pamela, wspierająca się z dumą na ramieniu również pięknego syna. Jedwabna, kolorowa chustka, którą sobie od niechcenia zawiązała głowę, tak, że tylko koło uszu dwa czarne wymykały się kędziorki, zdobiła ją lepiej, niż turbany, przez najsłynniejsze robione modniarki.

Zawsze młoda! wyglądała na córkę swojej kuzynki i przyjaciółki, dobrej Henrjety, która, wróciwszy niedawno z Włoch ze swemi trzema córkami, gościła ją tej jesieni 1818 u siebie.

Edward nie służył już w wojsku. Wydalono go z armii angielskiej, gdyż gorący chłopak zaprotestował wraz z kolegami przeciw tchórzliwemu postępowaniu swego pułkownika.

Miał temperament podobny do ojcowskiego, ale bez jego heroicznej mocy. Rad, że się wyrwał z rygoru wojskowego, pośpieszył do matki. Paryż zachwycił go.

Teraz flirtował z panienkami, a matka snuła już nadzieje, nie mające się sprawdzić, że wyswata go z którąś z córek przyjaciółki.

Opowiadał o siostrach, które ciche i miłe życie pędzą pod opieką dobrej ciotki Zofji, mieszkając blisko Londynu, w T h a m e s Ditton.

Księżna Leinster zmarła w roku 1815, a kierunkiem wychowania panien Fitz Gerald zajął się wuj, lord Holland. On to dał im za nauczyciela Hugona Foscolo, słynnego włoskiego poetę. Ten wygnaniec i patriota mówił nieraz dziewczętom o ich bohaterskim ojcu i uczył je jak „świętą i łez godną jest krew wylana za ojczyznę“.*)

Lucy najpodobniejsza do matki z twarzy, odziedziczyła dużo płomiennego entuzjazmu po ojcu. Miała, jak on, ogromne współczucie dla ludzkiej niedoli, zakładała szkółki, uczyła biedne dzieci, a przytem — kochała się — zmieniając co prawda nieraz przedmiot uczucia.

Pamela, słysząc o tem, drżała

nieraz o los ukochanego dziecka. O rozsądną Pam bała się również, wiedząc, że kocha się w niej młody kuzyn, Henryk, a matka jego, nie dopuściłaby nigdy do małżeństwa syna z córką „rebelanta” i „płoczej Francuski“.

Uradowała się też wiadomością, że młodej dziewczynie inna trafia się partja: sir Guy Campbell, młody wdowiec, oficer i zamożny posiadacz ziemski.

Małżeństwo przyszło do skutku, choć lord Holland ubolewał, że narzeczony ponoć trochę pospolity, za „wulgarny“ dla ślicznej Pam.

Tymczasem ks. Walji, objawszy rządę jako Regent, zniósł konfiskatę dóbr niegdyś do lorda Edwarda należących, za co piękna spotkała go nagroda: wiersze Byrona, sławiące sprawiedliwość władcy, wracającego sierotom ojcowiznę.

Z dochodów tego majątku otrzymała Pamela rentę stu funtów sterlingów rocznie. Po raz pierwszy od wielu lat mogła spokojnie odetchnąć, bez troski pieniężnej.

Zato spadła na nią niespodziewana przykreść. Podczas bytności młodego Edwarda w Paryżu, książę Ludwik Filip objawiał mu dużo życzliwości, i traktował go jak siostrzeńca. Ta serdeczność i wielkie podobieństwo syna Pameli do młodych książąt zwróciły uwagę siostry księcia: *Mademoiselle*. Biedaczce, która postarzała się wśród dość smutnych warunków samotnego życia i nigdy ładną nie była, spadły łuski z oczu. Zawsze była trochę zazdrosną o Pamelę, teraz, gdy sobie uprzytomniła dla czego pod opieką pani de Genlis przypadała jej nieraz rola kopcieszka, zły humor księżniczki wybuchł i skupił się na Bogu ducha winnej przyrodniej siostrze. Zerwała z nią stosunki, ochłodziła dla pani de Genlis. „Guwernantka“ wciąż w śmiertelnej obawie skandalu dała odczuć swój zły humor córce.

Ta jednak, przywykła do fantazji matki, nie brała już ich na serjo. Miała wielką radość w duszy: została babką.

* * *

*) W listach Foscolo i hr. Confalonieri, który odwiedzał poetę w Anglii, są serdeczne wzmianki o „anielskich pannach“.

Cztery lata liczyła najmłodsza Pammy, lady Campbell miała już drugie dzieciątko u piersi: małego Eddy, gdy doszedł nareszcie do skutku zjazd całej tak długo rozdzielonej rodziny.

W Normandji wynajęto letnie mieszkanie i tam wśród wiejskiej ciszy Pamela i jej troje dzieci spędziły kilka cudownych miesięcy.

„Żyłam poto, aby odzyskać moją matkę, — pisze Lucy do swej dobrej ciotki, — nie pojmuję, jak mogłam znieść te trzynaście lat rozłąki. Och ciociu, sądzę że Twoje dobre serce z radościąby dzieliło nasze szczęście. Piszę w pokoju mamy, Edward siedzi koło niej i rozśmiesza ją swojemi opowiadaniem, sir Guy jest zachwycony, widząc razem trzy kochane Pamele. Mamie bardzo się jej zięć podoba, taki dobry jest dla niej! Zdziwiłabyś się ciociu, widząc jaka mama jest jeszcze młoda i piękna! utyla tylko trochę. Tak ładnie ubrana, tak gustownie i stosownie. Zawsze ma tę pasję do kwiatów i ogrodnictwa, którą tak u niej lubiałaś. Ale zdaje się poważniejsza, bardziej systematyczna, oszczędna i jest już taka rozsądna!”

Widać z tego zapewnienia, że biedna Lucy nasłuchiwała się dość przymówek o lekkomyślności swej matki, którą potępiali zawsze lady Henrykowa i pan Ogilvie, a broniły Zofja i księżna matka.

Piękne wakacje minęły prędko i Lucy, wróciwszy do Anglii, pisze list po liście do matki.

„Muszę Ci wyznać Mamo, że z początku nie chciałam ciągle mówić o Tobie, bojąc się, iżby ciotka nie była zazdrosna, ale pewnego wieczora sir Guy zaczął Cię chwalać. Wyobraź sobie moją radość, gdy rzekł do ciotki, że znalazł w Tobie najrozsądniejszą z kobiet, posiadającą tyle taktu i dobrego smaku, że dawałaś mi najlepsze rady, jednym słowem ciotka była zbudowana.

„Sama powiedziała mi kiedyś, że nie wie, jak się to stało, ale że widzi we mnie ogromną zmianę na korzyść, odkąd wróciłam z Francji i czuje się bardzo przez to szczęśliwą. Jakaż to uciecha i triumf dla mnie, bo teraz ciotka pozwoli mi znów zjechać się z Tobą w Paryżu, oby jaknajprędzej... Żegnaj mi najmiłsza, najlepsza, najpiękniejsza!”

Pamela nie mieszkała już w Opactwie w chwili, gdy dzieci przyjechały ją odwiedzić. Przyjęła zaproszenie księstwa Caumont de la Force, z którymi zaprzyjaźniła się w 1820 roku. Księżna i siostra księcia przemieszkiwały w zimowej porze w Abbaye aux Bois, stąd za żyłość.

Książę de la Force, magnat starożytnego rodu, wielce kulturalny człowiek i dzielny żołnierz, odbył kampanje Napoleońskie, a obecnie, jako gubernator, zarządzał prowincją Montauban.

Oprócz pałacu w mieście, księstwo posiadali w sąsiedztwie wille, w której prócz służby nikt nie mieszkał i ofiarowali ją przyjaciółce. Pamela nie była w stanie prowadzić domu, ale przyjęła dwa pokoje parterowe z osobnym wejściem „un asyle et des fleurs”. Oddzielono jej kawałek ogrodu i tam oddała się z zapałem swemu dawnemu zamiłowaniu do ogrodnictwa. W zimie malowała kwiaty: subtelne akwarele, których album do dziś przechowują prawnuki.

W Paryżu plotkarze rozpuścili znów wieść fantastyczną, że wdowa po „romantycznym szaleńcu, buntowniczym lordzie” dała się porwać z klasztoru „drugiemu szaleńcowi”. Tak powiadał, ku uciesze salonów, niezrównany causeur, hrabia de Noailles.

Książę Caumont de La Force na szaleńca nie wyglądał i „porwanie” odbyło się w towarzystwie czcigodnym, nie tylko hrabiny, ale trzech siostr księcia, staruszek. Czy jednak uwielbienie, które uprzejmy gospodarz żywił przez długie lat dziecięć dla swego gościa, nie było czemś więcej jak przyjaźnią, któż to wiedzieć może? Małżeństwo, które książę zawarł, mając lat szesnaście, z siedemnastoletnią śliczną wówczas Hiszpanką, nie było szczęśliwe. Księżna, postarawszy się, miała humor przykry, dzieci pomarły, dom był smutny — Pamela zaś była zawsze pełna wdzięku i niefrasobliwej pogody, piękność jej była nieśmiertelna!

„Czy lady Fitz Gerald jest zawsze tak powabna i tak lubi się podobać?” — pytała, nie bez pewnej złośliwości, hrabianka Ewa de Bradi księcia.

„Zawsze — odpowiadał tenże — a ponieważ u nas na wsi nie widuje nikogo, kokietuje mego starego ogrodnika”.

Prócz ogrodnika miała Pamela stałych i wiernych wielbicieli, a byli to ubodzy wokoło.

„Pamela, dokąd ma pieniądze, rozdaje je — mówiła jej krewna — sama obchodzi się małym, liczyć nigdy się już nie nauczy”.

„Imię jej będzie wymawiane z błogosławieństwem w chatkach ubogich, ludzie świątowi pamiętań będą powabną i bohaterską lady Fitz Gerald, nędzarze nie zapomną o „dobrej pani Pameli”.

Jesień życia łagodziła dawne smutki i rozterki. Lucy Foley odwiedzała teraz często Francję, mając siostrzenicę lady Chabot, córkę księcia Leinster, na dworze księżny Orleańskiej. Bratowe spotykały się u pani de Genlis i gwarzyły o dawnych czasach z pewną melancholją, lub przysłuchiwały się, gdy starzy przyjaciele domu, jak Talleyrand, gawędzili o czasach jeszcze dawniejszych, wskrzeszając wspomnienia beztrudnej Francji przedrewolucyjnej.

Edward ożenił się z bogatą i piękną córką bankiera, miss Jane Dean Paul. Młodzi państwo osiedlili się w Paryżu. Pamela jednak nie miała wielkiej pocięchy z synową. Oschła i twarzą, uważała, że adoracja, którą dzieci miały dla matki jest przesadna, tak samo, jak fama jej piękności.

Lucy, namiętnie do matki przywiązana, była jej najwierniejszą korespondentką. Pisała jej o wnukach: trzeciej już z rzędu parze Pam i Eddy. Dwa razy do roku posyłały sobie córki i matka prezenty, za pośrednictwem starej modniarki, która z Londynu jeździła do Paryża po zakupy. Przywoziła Pameli suknie z modnego angielskiego muślinu i igty. — „Posyłam Ci szal żółty, wiedząc, że lubisz ten kolor — pisała Lucy. — Noś go Mamo spokojnie, gdyż jest zapłacony, a długów już nie mam”.

Podarunki, które wzajem posyłała „babcia” były to ponajwiększej części jej roboty: śliczne filizanki, zdobione przez nią, kwiaty sztuczne, saszeciki, noszące dewizy w guście pani de Genlis n. p.: „Piękność wabi, lecz Cnota przywiązuje”.

Niebawem szły z Francji hafty do wyprawy Lucy, która wreszcie zakończyła się szczęśliwie i w r. 1825 poślubiła dzielnego podróżnika podbiegunowego: kapitana Jerzego Lyon.

Cztery miesiące i cztery dni trwało szczęście młodej pary, potem kapitan musiał wyjechać, by objąć posadę w Meksyku, Lucy odważnie mu towarzyszyła. Straszna burza na Atlantyku przyprawiła ją o chorobę i zmusiła do powrotu. „Miałam w chwili największego niebezpieczeństwa twój portrecik na piersi — pisała potem do matki — ten słodki wizerunek przyniósł mi szczęście i Bóg ocalił nas”.

Równocześnie Pamela Campbell odbyła szczęśliwie czwarty półóg.

„Teraz kochana mammo odetchniesz nareszcie, spokojna o twoje córki na morzu i na lądzie”, pisała żartobliwie, nie domyślając się, że biedna Lucy zemrze za kilka miesięcy w półogu, zostawiając córeczkę, nazwaną również Lucy, zdala od ukochanego, młodego męża, który musiał podróży swej dopełnić i dopiero na wiosnę miał wrócić po nią. Śmierć jej była tak smutną, jak niegdyś chwila jej urodzin.

Nie pocieszyła Pameli wiadomość o ślubie najmłodszej swej córki Heleny Pitcairn. Znała to dziecko tylko z listów serdecznych, choć smutnych.

Posłała jej swoje błogosławieństwo w liście pełnym łez i dobrych przestroż.

W zaciszu wiejskim dowiedziała się o rewolucji lipcowej. Towarzysz jej młodości, przyrodni brat, został królem Francuzów.

Była to dla pani de Genlis radość ogromna i ostatnia. Staruszka dogasała. „Ostatni mój portret — pisała — przedstawia mnie z piórem w ręku, przy stole, na którym leży jedna tylko księga: Ewangelja, a obok lampa, której światło gaśnie już”.

Lampa jej życia zagasła nagle w nocy 31 grudnia 1830 roku.

Pamela Campbell pisała: „Droga mammo, bolałam razem z Tobą, pewna, że śmierć pani de Genlis żywo cię dotknęła, bo to była przecież twoja matka! ta mère enfin, car c'était là le lien?”

W ostatnich czasach stosunki obu kobiet stały się znowu serdeczne. Pani de Genlis widywała się często z Pamelą,

W ostatniej woli jednak zapisała jej tylko „Zielnik moralny”: zbiór suchych kwiatów, z wypisaniami pod każdym sentencjami.

Rewolucja, która tyle radości przyniosła zmierzchowi jej matki, pozbawiła Pamelę „schronienia i kwiatów”. Księżciu de la Force odebrało zarząd prowincji, wskutek tego sprzedał swoje tamże dobra. Pamela wróciła do Paryża, nie wiedząc sama co robić: czy wynająć mieszkanie w Paryżu, obok syna, czy przyjmując zaproszenie, które córka powtarzała raz po raz i pojechać do niej do Irlandji. Sir Guy Campbell został komendantem w Limerick. Pomimo tęsknoty za wnukami, lady Fitz Gerald nie mogła zdobyć się na powrót do kraju, który tak smutne budził wspomnienie. „Serce moje krwawi się, gdy myślę o nieszczęśliwej Irlandji”, pisała, bolejąc, być może, że córka przebywać tam będzie, jako żona angielskiego oficera.

„W kraju jest zupełnie spokojnie, nie masz powodu do obawy“, upewniała ją córka. Po strasznym wysiłku i upływie krwi w r. 1798, Irlandja, pozbawiona głosu przez skasowanie parlamentu i Unji z Anglią, odrętwiała. Zbudzić ją miało dopiero potężne słowo O'Connella.

Po śmierci księcia Leinster, który do ostatka bronił na terenie parlamentarnym praw swojego narodu, ród Fitz Geraldów stopił się z arystokracją angielską. Minęły bezpowrotnie czasy, gdy mawiano, że król angielski spokojnie spać nie może, dopóki w Irlandji jeden bodaj Fitz Gerald oddycha.

Namyślała się Pamela: co zrobić z resztą swojego życia? rozstrzygnął za nią los.

Zamieszkała na razie z ubogą kuzynką, przygarniętą przez nią Georgettą du Crest, w hotelu de la Danube. Syn i synowa podróżowali po Włoszech.

W Paryżu nie było nikogo z jej bliskich znajomych.

Dowiedziała się niespodzianie, że przybył do stolicy Barrère, konwencionista: wygnany za dawnych rządów, „opiekun“ jej niegdyś w czasach rewolucyjnej burzy.

Zaprzęgnęła go zobaczyć, rozczuliło ją to spotkanie i obudziło cały rój wspomnień. W kilka dni potem zasnęła. Lekarz nie umiał określić choroby, sądził, że wysypie się ospa, lecz to nienastąpiło.

Chora, czując się gorzej, poprosiła Georgettę, która wraz z przywołaną zakonnicą pielęgnowała ją troskliwie, o księdza.

Po rozmowie z tymże uspokoiła się, mówiła, że z radością opuszcza życie tak bolesne, nie przez to co przeszła sama, lecz przez cierpienia bliskich swoich. Patrzyła śmierci odważnie w oczy. Pragnęła bardzo zobaczyć kogoś z rodziny męża, uradowała się, gdy na jej prośbę, przysłała do niej lady Chabot, ostatnie jej pytania były o drogą Lucy.

Lady Campbell dostała wieść o chorobie matki zapóźno.

Georgetta du Crest z zakonnicą były same przy niej, gdy się rozpoczęła agonja: Siostra Urszula zaczęła odmawiać modlitwy za konających. Chora odpowiadała naprzód wyraźnie, potem coraz słabiej, wreszcie zamilkła. W oczach utkwionych w niebo jaśniała głęboka i ufna wiara. Wreszcie oczy zaszły mgłą, ręka ścisnęła konwulsyjnie krucyfiks... Skonała.

Było to 7 listopada 1831 roku.

Codzień przychodził stary Barrère dowiadywać się o stan chorej, na wieść o jej śmierci zapłakał.

Księżę de La Force głęboko odczuł stratę przyjaciółki i może ten jego smutek dał pole do komeraży, które nie ucichły nawet przed trumną.

²⁾ Pocisk niemiecki, w r. 1871 uszkodził grobowiec Pameli, w r. 1890, gdy cmentarz przeinaczano, Irlandczycy bawiący w Paryżu, dali znać rodzinie, wnuk zmarłej sir George Campbell i córka, nieznaną prawie matki, Helena Pitcairn Mrs Corquodale, sprowadzili prochy Pameli do Thame s D i t t o n, gdzie spoczywają obok grobów córek Pameli i Lucy.

Ponieważ nikt z rodziny nie mógł być powiadomiony na czas, pogrzeb odbył się kosztem księżniczki Orleańskiej, która zapomniała chwilowej urazy i rozkazała, aby był „skromny, ale piękny“.

Pan Pitcairn postarał się następnie o wyrównanie wszystkich drobnych długów zmarłej. Pomnik na cmentarzu Monmartre postawił jej księżę²⁾. Długoletnia przyjaźń, mówił, dała mu to prawo.

Do Anglii doszła wieść o śmierci, tak niespodziewanej, już po pogrzebie. Głęboko bolała córka. Wymieniała z Georgettą listy pełne smutnych rozpamiętywań. Lady Chabot doniosła Łucji, że zmarła w ostatnich chwilach pytała o nią.

Pani admirałowa Foley zadumała się. Dawne wspomnienia zaczęły budzić się w jej sercu, i rozdzwiewały, jak srebrne struny zaniedbanej już dawno, maleńkiej harfy irlandzkiej, wiszącej w kącie jej pokoju. Wspomniała swoją młodość „górną i chmurną“, i biały dworek w Kildare i „szczęśliwy quatuor“, gwarzący przy kominku, na którym płonął ogień torfowy. Oczy zaszły jej łzami, jak gdyby gryzący dym dostał się pod powieki...

Ze szczerem wzruszeniem pisała: „Moja biedna siostra Pamela umarła. W jej nieszczęśliwych losach zapisane było, że aż do śmierci ścigać ją będzie złośliwość ludzkiej obmowy. Teraz poszła tam, gdzie niemasz obłudy i prawda serca objawiona będzie. Biedna Pamela! lepsza była, niż ci, co na nią rzucali kamieniem!“
Koniec.

Z O F J A R. N A Ł K O W S K A

JEJ TRZY KSIĄŻKI OSTATNIE. JEJ TYPY KOBIECE

II

Twórczość Nałkowskiej, której całokształtu nie zanalizował dotąd żaden z krytyków, bo... nie robi się tych rzeczy u nas teraz, niema na nie czasu — to jeden wysiłek w kierunku szukania coraz nowych form wypowiedzenia się. Nie naśladuje nikogo. Raz jeden może uderzyła w ton Zapolskiej, pisząc Narcyzę. Ale to przebrzmiało i nie wróciło. Pozatem jest zawsze sobą. Styl ostatnich jej książek bezwolnie — bo któż oprze się tej przepotężnej sugestji? — trąca czasami, czasami o głębią, nastrój i jedyne w sobie skoncentrowanie Żeromskiego. Ale to nie zarzut.

To stwierdzenie zasadniczej cechy założenia autorki — ciągłego szukania i schylania się wzdłuż żmudnej drogi po coś, co może wzmódz, skrzepić siłę wyrazu.

Niektóre utwory Nałkowskiej jak etiudy, przeznaczone do wypróbowania sprawności i dokładności w sprecyzowaniu własnej techniki.

Świat jej zwierząt, studja „Charaktery“ — to jak przegrywki — ćwiczenia przygotowawcze do większej pracy stylizowanej.

Dała ją Nałkowska w przedostatniej swojej książce „Dom nad łąkami“. Zaskoczony nią czytelnik, nie wie, co powiedzieć o niej zła czy dobra? ciekawa czy nudna?

Dostałam tą rzecz na wsi, kiedy się żyje przyrodą i patrzy na każde drzewo, jak na człowieka, bo niema sosny podobnej do sosny, jak nie ma istot ludzkich, sportretowanych jedne na wzór drugich.

Tylko na wsi, na prawdziwej wsi, trzeba czytać tą książkę Nałkowskiej, żeby ją zrozumieć. Tylko z ukośnieniem jakiegoś swojego zakątka nad łąkami trzeba przystąpić do niej, żeby ją bardzo polubić.

Kiedyś — już dosyć dawno, zwróciłam się do Z. Nałkowskiej z prośbą o trochę danych o sobie. Pragnęłam naszkicować jej sylwetkę w Bluszczu, a znałam ją tylko z salonów i z książek. W salonach i w książ-

kach była zawsze bardzo spokojna i — jak większość jej bohaterek — prawie nie biorąca udziału w tem, co ją otacza.

Jednak — musiała coś ukochać. Jednak — musiała mieć w życiu coś, do czego najmocniej przyłgnęła. Bo co za sens, jaka treść inaczej?

Więc rzuciłam w liście bardzo niedyskretne pytanie, czy i co umiłowała najsilniej?

Odpowiedzi nie otrzymałam. Nato riasł po roku przyszła książka — właśnie na wsi, kiedy codzień z mostu nad bystrą czarną rzeką wpatrywałam się w tajemnicze olchy i uczyłam rozpoznawać każdą oddzielnie i mówiłam sobie, że to jest najśliczniejsze miejsce na świecie, że żadna Szwajcaria i żadne Włochy nie dadzą oczom i sercu tylu rozkoszy.

Widziała Nałkowska wiele krain, wiele łądów i wód. Z dróg, prowadzących pomiędzy winnicami, błyskały w dole miasta obce i wieże kościołów, okryte w słońcu mgłą perłową. Z ponad twardych, świecących liści krzaków południowych białało w dni skwarne morze, jak płynny ogień i chwiała się na falach motyle żagli. Między słupami czarnych sosen biło w piaski nadbrzeżne złe morze północy.

Ale — co mogło być piękniejsze nad widok dużej polskiej łąki w dole i lasu na horyzoncie, widok z białego domku na wzgórzu ze strażą brzoskwiń i czereśni dokoła?

Każdy ma taki dom, który ukochał, w którym pragnie umrzeć. Każdy — po latach przeżyć — wraca do swojej Itaki, wrócili do niej w ostatnich swoich powieściach — Kaden — Bandrowski, Iwaszkiewicz, Opisuje ją Nałkowska suchym napozór, jakby kronikarskim stylem, ale jakżeż bogatym w subtelne odczucia!

Opisuje dzieciństwo swoje, zabawy z siostrą i te kaczeńce, najpiękniejsze wtedy, gdy w wodzie odbijają się chmury granatowe, a one razem z jasną, młodziutką trawą wodną wyglądają, jakby wciąż jeszcze świeciło słońce. Im chmurniejsze niebo i woda, tem one bardziej pogodne. — Opisuje las cichy, jesienny, omglony, niebo bez gwiazd, wysłane mgłą. I kępy mchów, olszyn karłowatych, łochiń, wrzosów — wszystko jakoś fantastycznie ponuro złote, malachitowe i fioletowe, wyrastające z czarnego torfu nad czarną wodą. Wszędzie dokoła najśliczniejsza młoda brzezina, a w głębi sosnowy, stary, ciemny bór.

Opisuje ludzi i rzeczy inaczej, niż zawsze.

„Dom nad łąkami“ to coś zupełnie nowego w twórczości Nałkow-

skiej. Nie kronika zwierząt i nie psychoanaliza ludzka. Nie najsztelniejsza mozaika erotyki. Nie zanurzanie się w stany podświadomości i nadsluchiwanie migawkowych odruchów, tłumików przeżyć wewnętrznych, które jakimś gestem, jakimś powolnym, ciężkim spojrzeniem przedostają się na zewnątrz. Nawet nie mgiełki refleksyj, rozwleczone nad marzeniami bohaterek, które są jak cienie.

Nic z tego.

Gdy w innych książkach — schodząc do wnętrza ludzkich, wyprowadza Nałkowska istotę ich nazewną, tutaj — przeciwnie — zjawia zewnętrzna służy jej jako wskaźnik przeżyć wewnętrznych. Z wyżyn intelektualnych spuszcza się w niziny najcodzienniejszych potrzeb najrealniejszych, czysto fizycznych wysiłków, najkonkretniejszych, związanych, z tętnem chwili bieżącej przełomów, najpowszedniejszej prawie zwierzęcej erotyki. Ogarkiem, który ją prowadzi w ten świat, są wspomnienia dzieciństwa — to, co najdroższe dla mózgowca, czy przeczułonego sentymentalisty, dla mistyka — marzyciela, czy adepta pozitywizmu.

Dokoła „Domu nad łąkami“ byli sąsiedzi — cieśla, gajowy, stróż na torfowisku, pastuch kóz, zaradne, pracowite — aż na ośmiu morgach gospodynie, ich dalsza i bliższa rodzina. Żeniło się to, umierało, nosem utykało w robocie, lub wałęsało beczynnice.

W ścisłym porządku po kronikarsku opowiada o nich Nałkowska. Interesuje ją co banalne i mierne, jak wszelkie prawo, wydaje się jej rzeczą zajmującą w faktach małych i powszednich odnajdywać wbrew oczekiwaniu spłót doniosłych motywów, stwierdzać, że każde dowolne zjawisko jest punktem przecięcia wszystkich spraw świata, że wszystko co istnieje, zarówno wplecione jest w „węzeł życia“.

Do tego przyznaje się w jakiejś innej książce i to tłumaczy filozoficzne założenie kroniki sąsiadów z „Domu nad łąkami“.

Co widzi, to przedstawia.

Ale grupuje wydarzenia, związane z życiem tych przyziemnych istot tak umiejętnie, zestawia je w łańcuch przyczyn i skutków tak ciekawie, z takim wielkim umiłowaniem zwraca się ku zjawie przyrody, że kronika jej żyje, uderza tętnem, za którym idzie czytelnik, zniewolony aż do końca i pożegnawszy swoich dobrych znajomych z nad łąk, z żółtych piasków, myśli o nich długo. Myśli o psiej miłości Magdy do starego gajowego — zakazanej, a jednak — na płaszczyźnie tych dusz prostych, gminnych, samorzutnością swoją

i trwaniem przemożnym uświęconej. Myśli o głupim życiu pijaka nicponia, kaleki wiły, w którym odezwał się nagły ton jakiejś hardej wielkopańskiej dumy i ambicji, że aż pchnęło go to do samobójstwa. Myśli o grzesznym ojcu, który za wiązkę chrusu sprzedaje córki swoje i nie kaja się, bo — zwierzę ludzkie nie rozumie przewiny. Myśli o długim korowodzie tych poniewolnie skrzywdzonych lub wywyższonych przez niewiadome prawo losu, którzy zginęli marnie, albo zubożali się w ciągu opowiadania.

Autorka nie podsuwa żadnych wniosków, nie narzuca wyniku swoich doświadczeń, nie sugeruje metodą własnej wnikliwości. Zostawia tylko uśmiech subtelnej ironji na znak zrozumienia po swojemu tego życia nizin — życia bez osłon oportunistycznej kazuistyki.

Gdy w świecie inteligencji kobieta broni się przed zdeptaniem, sponiewieraniem, chwytając za oręż kultury swojej — wyhodowanego wdzięku „kobiecości“, wysubtelnionej gry w uwodzenie, która jest najpewniejszym arkanem na kochankę, gdy mąż sprzykrzy się, lub — przestanie być wiernym w krainie instynktów — po za sferą oddziaływania kultury — prawie niema żon i kochanek, którychby nie zdeptał, nie sponiewierał mąż, uwodziciel, miłośnik. W „Domu nad łąkami“ znalazła się jedna, dwie, które zdołały opanować mężczyznę nie przez urodę lub inne dary zewnętrzne, ale przez twardą, nieugiętą wolę, tęgą pracę i bystry rozum życiowy. Piękne, a bezradne miłośnice kończą tragicznie.

Dla napawania się czarem kwiatu trzeba oczów, rozwartych na zjawę cudu barw i kształtów. Trzeba wysubtelnionego zmysłu chwytania uroku i wdzięku w samorzutnem ich upostaciowaniu. Nie postrzega tego wzrok, przywarty do ziemi, a nie nauczony, jak ma patrzeć i co widzieć.

Triumfuje unurzana wszale swoim namiętność, która drwi z pozorów i opinii. Triumfuje chytra chciwość i przebiegłość. Triumfuje chłopski zbrutalizowany sybarytyzm, dla którego nie istnieją prawa i względy moralne po za jedynym kanonem dogadzania wszystkim zachciankom chuci zwierzęcych.

Ofiarą losu pada słodka, cicha dobroć — Perguł, skatowany, zamordowany przez bolszewików.

Tak — z pewnymi odmianami, wywołanymi przez odrębne warunki bytu, a nadewszystko przez tłumiki kultury, zostawiające treść, ale — ubarwioną tęczęmi nastrojów, — było i w „Romansie Teresy Hennert“.

(c. d. n.)

C. Walewska

NIC WAŻNEGO

DAMA GROTESKA

Biada kochankom, którzy między jednym pocałunkiem a drugim pomyśleli, że wargi służą także do ssania cybucha. Od tej chwili prześladować ich będzie małpia twarz codzienności.

Jeżeli Jadwiga, zamknięta w uścisk Jerzego, zamglony wzrok oplącze wkoło jego spinek i dręczy się, „Gdzie ja takie widziałam?” — przekwita miłość, stracone są na długo (może na zawsze) rozkosze Jerzowych pieśczęci! I na wąziutkiej grani między patosem życia, a jego śmiesznością stanie dwoje ludzi niemile zdziwionych. Czasami udaje się taniec między otchłaniami; wtedy — najdrapieżniejsza z chimery — groteska chowa pazury. Częściej jednak ścieżyna, która u początku miała rozpęd Orlej Perci, gubi się w zakosach między chęcią, a czynem, między wyobraźnią, a ciałem. Owe błędzenia są właśnie sabbatem groteski.

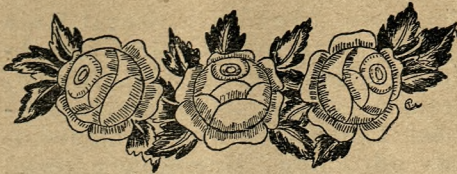
Popatrzmy:

Minister, który — głosząc w Sejmie zbawienność swego systemu — najroźszy wrzask opozycji słyszy we własnej głowie, ten pan ani się spostrzeże, kiedy przy biurku — vis à vis ekscellenckiej osoby — zasiądzie Nonsens i pocznie skrzywieć do taktu myślom pokracznym, jak szekspirowskie westalkę. Niebawem w resorcie pana ministra zbieraniem podatków zajmie się Lohengrin, ciągniony przez łańcuch, rektyfikacje zasypią rynek mączką Nestle'a, a referentom, zamiast kopjałów, wręczone zostaną damasceńskie szable.

Profesor Sagacius, chluba naszej paleontologii, nie rzadko również na swojej drodze spotyka Krzywe Zwierciadło. Bywają przecie takie ekskursje do Tybetu, że u proga każdego aułu wytryska źródło Baniałuki. W godzinę zwycięskiej galopady przez step zasiany śmiercią, kiedy szakale, Dalaj Lamy, skowronki i dromadery, trujące ziółka, węże owłosione na podobieństwo małp i sinobrodzi tubylcy obskakują o północy karawanę Sagaciusa — wszak to Groteska szaleje na czele bandy, niczem Asmadeusz, puszczony z łańcucha.

Gdziekolwiek zresztą dama w leciech, obleczona w chłopięce szatki, sepleni słowa przystojne Pierrot'owi, gdzie gramofony kwiczą Ave Maria, żony klócają się z mężami o zeszłoroczny śnieg, gazeta pachnie niebem, a w wierszach mówi się dużo o Annie Csillag*) — tam wszędzie ukłęk cię może cieniutkie żądło Groteski.

Nawet dzieci nie są jej obce. Zbudowane powieścią o aniołku,



który nigdy się nie napierał konfitur, Jędrusie i Dudki pytają: „Czy pan aniołek miał wąsy?”

Ach, wąsy!.. Zaiste, dzisiaj (i w Warszawie) Groteska nosi się po ulicach, owinięta w płaszcz Mikołajowski, chwacko strzygąc wąsami metrowej długości.. Tak wygląda obecnie, bo w dobie warg męskich gładziutkich, niczem listek, wcieloną niedorzeczność musi na twarzy nosić wiechy. Ręczę jednak, że za cła sówrczezi humańskiej spotkać ją mogłeś w naddońskiej stancyc przystrojonej w perukę i suknię z adamaszku.

Wśród lazaretów nadmozełskiego frontu znakiem szczególnym tej damy był dekolt do pasa i orchidea — nie kwef pielęgniarce. W rodzinach drobnych urzędniczków z pewnością błądzi ona z diademem Głorji Swanson we włosach, zaś u paskarzy froteruje posadzki w kontuszu z wylotami.

Gdzie tylko być jej nie powinno — znajdziesz ją bez ochyby. W każdej okazji pokrzepi cię zapewnieniem, że zła królowa Bona umarła, a w dniu słoty sączy się z jej ust tyle sekretów Poliszynela, aż na miejscu słońca dostrzeżesz łąco pięść, złożoną w figę.

Towarzyszko tabetycznych Siegfriedów, frejli no tworów podzwrotnikowych, Muzo drzewiego bieguna — Damo Grotesko! — w mojem mieście nazywasz się: „pan z wąsami”.

Marja Kuncewiczowa.

KOBIETA W ŚWIECIE
I W DOMU.



„PAN GARCIN MA GŁOS!”

Na jednym z ostatnich kongresów międzynarodowych Stowarzyszeń Techników i Inżynierów w Paryżu „sensacją dnia” stał się referat p. t. „O systemie oszczędnościowym w drukarniach i odlewniach metalowych.” Przyczyną tego ogólnego zainteresowania był nie sam temat, aczkolwiek sam przez się zajmujący, lecz osoba prelegenta.

*) Reklama wody na porost włosów.

W chwili bowiem, gdy przewodniczący Kongresu, spojrzawszy na listę zgłoszonych referatów, uroczyście wygłosił: „Pan inżynier Garcin ma głos!” — ku ogólnemu zdumieniu zebranych na mównicę weszła młoda i bardzo przystojna panienka.

Była to panna Zuzanna Garcin, wynalazczyni nowego i jak utrzymują fachowcy niezmiernie praktycznego i pomysłowego systemu oszczędnościowego, stosowanego już z bardzo pomyślnymi wynikami w niektórych zakładach drukarskich. Pomimo swego bardzo młodego wieku, panna Garcin ma już za sobą kilka lat poważnej pracy zawodowej. Rozpoczęła ona swą karierę jako stenografistka na usługach pewnej firmy drukarskiej.

Zauważywszy po pewnym przeciągu czasu, że przedsiębiorstwo to przynosi bardzo małe zyski wskutek wadliwego systemu prowadzenia, panna Garcin zwróciła się do dyrektora firmy z prośbą, aby jej pozwolono zapoznać się bliżej z metodami pracy i poczynić pewne próby własnego pomysłu. Kierownik przedsiębiorstwa, nieco zdziwiony tą propozycją, miał jednakże zaufanie do swej pracownicy i postanowił dać jej możność rozwinięcia inicjatywy. Powierzono więc pannie Garcin na czas pewien kierunek całego zakładu i — cóż się okazało? Oto młoda dziewczyna, nie mając za sobą żadnego doświadczenia technicznego, ani fachowego wykształcenia, potrafiła jednakże pokierować całą pracą warsztatów drukarskich i odlewniczych w ten sposób, że zamiast uprzednich strat przedsiębiorstwo zaczęło przynosić znaczne zyski!

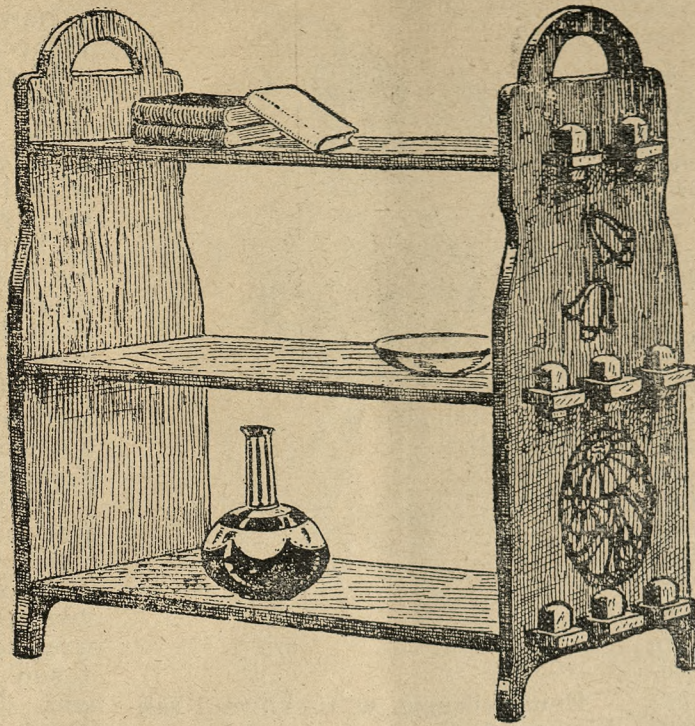
Sława młodziutkiej wynalazczyni rozeszła się w świecie technicznym bardzo szybko, zaproszono ją też do wygłoszenia referatu na owym Kongresie. Nie wiele jednak z spośród osób obecnych na sali wiedziało, że koncepcja tak praktycznego systemu oszczędnościowego powstała w główce młodego dziewczątka, nie zaś „pana inżyniera Garcin.”

KOBIETA A PRZESTĘPCZOŚĆ

Departament sprawiedliwości w St. Zjednoczonych ogłosił drukiem statystykę przestępczości w roku ubiegłym. Wynika z niej, że ogólne ilości osób karanych sądownie na terytorjum St. Zjednoczonych wynosi przeszło półtora miliona, co stanowi około 13½ % całej ludności. Jest to odsetek zastraszająco wysoki, świadczący bardzo niekorzystnie o moralności amerykańskiej. Uderzającym natomiast jest fakt, że kobiety stanowią zaledwie 5% ogółu przestępców. Z. B.

PRZENOŚNA

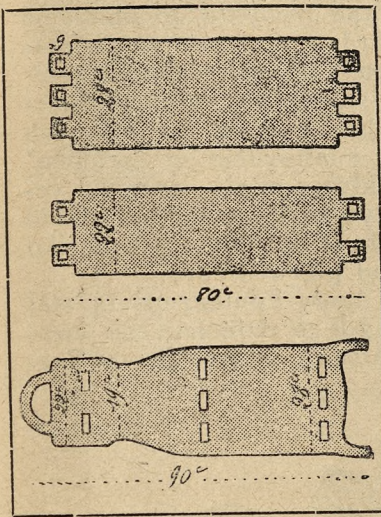
Półeczka, którą widzicie, jest przeznaczona do postawienia przy stole jadalnym. Aby uniknąć ciągłego wstawania, umieszczamy na niej to wszystko, co może być pod ręką potrzebne. Ponieważ jest lekka i łatwo przenośna, może też służyć do składania na niej rzeczy potrzebnych przy jakiejś specjalnej robocie. Postawiona pod ścianą mało zajmie miej-



PÓŁECZKA

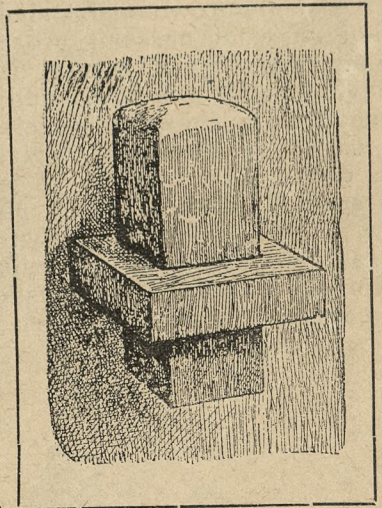
otwór (rys. 2). Dzięki takiej konstrukcji półkę można każdej chwili rozmontować, bez niczyjej pomocy, jeśli jest narazie niepotrzebna, lub gdy chodzi o przewiezienie. Pozostanie wtedy pięć deseczek, z których można zrobić niewielką, płaską paczkę.

Półeczka powinna być zrobiona z drewna świerkowego i ozdobić ją można wypalaniem, zabarwia-



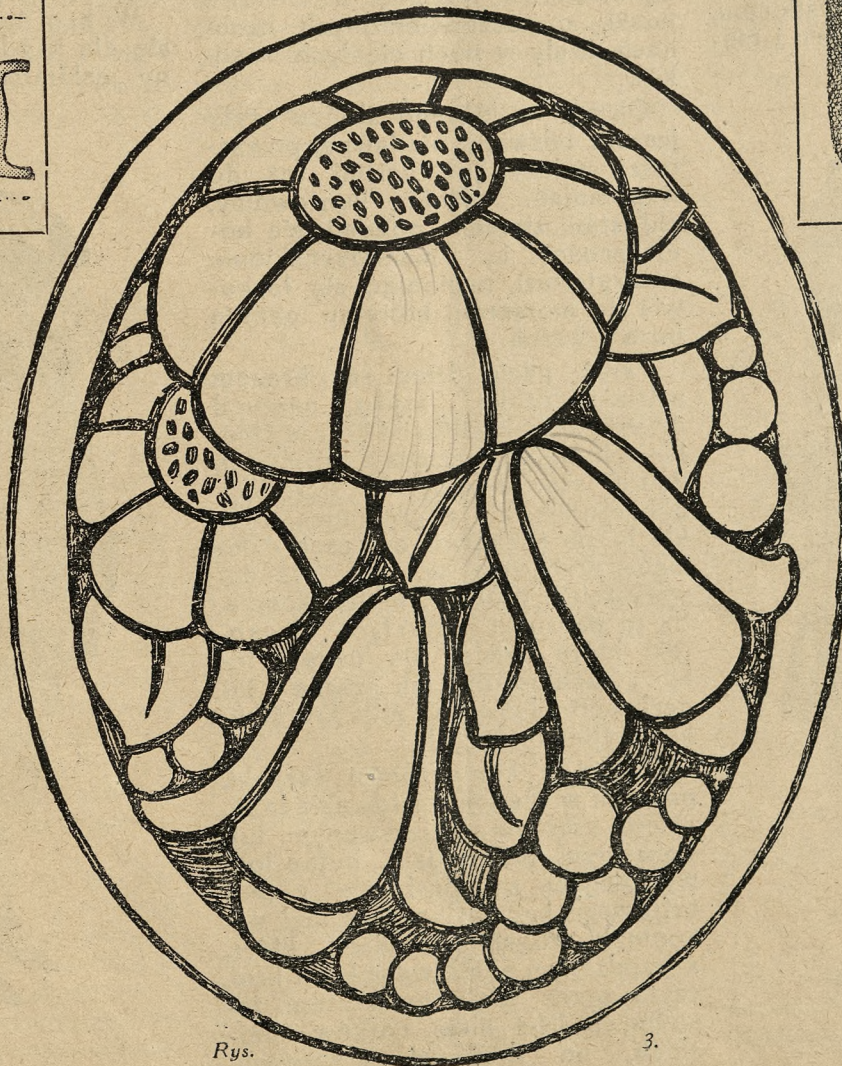
rys. 1.

co cieńszych, przytem jest zbudowana w taki sposób, że wycięte brzegi półek wchodzą w otwory wyrżnięte w bokach i trzymają się za pomocą drążka kwadratowego, długości 7 ctm., zatkniętego w odpowiedniej wielkości



rys. 2.

sca, a następnie przystawiona do stołu przy którym się pracuje — da możliwość sięgania po wszystkie potrzebne przybory, bez odrywania się od roboty. Zrobić taką półkę może każdy stolarz, a nawet stelmach, posługując się szematami podanymi przez nas (rys. 1). Składa się ona z dwóch boków, zrobionych z deseczek, grubości 2½ ctm. i trzech półeczek nie-



Rys.

3.

jąc wewnątrz nę płaszczyzny deseni, który podajemy [w naturalnej wielkości (rys. 3). [Po wypaleniu należy półeczkę polakierować przezroczystym lakierem, lub pociągnąć politurą. Zamiast wypalania można ją ozdobić malowanym deseniem, używając w tym celu zwykłych farb wodnych, lub farby emaljowej i po wyschnięciu pociągając drzewo lakierem przezroczystym.

DZIECI

Racjonalne ebranie dziecka jest bodaj najwładniejszą dziedziną mody. Przy pomysłowości, guście i pracowitości matki, niewielkim kosztem dają się osiągnąć wprost zadziwiające wyniki.

Nie mówię już o sukienkach letnich, w których dziewczynki wyglądają jak śliczne ruchome kwiaty na łądzka chwytych gibkich nóżek, bujają w słońcu niefrasobliwie, lub na obraz i podobieństwo motyli, uwijają się wśród zieleni parków i ogrodów. Lato jest to sezon, w którym ubranie dziecka szczególnie dziewczynki, jest łatwe, niedrogie, a nad wyraz efektowne. Nie pora jednak dzisiaj, w okresie jesiennych szarug i wichrów, przejmujących do szpiku kości, malować obrazy w słońcu skąpiane, nie pora pisać o zwiewnej markizecie, batystach i muślinach, upając się potętnymi porównaniami, kiedy wisi nad głowami naszymi proza wełnianych pończoch, ciepłej dziecięcej bielizny, szalików, kapturków, rękawic i puchowych kołderok.

Ciałka nawykłe do ostrej pieszczoty wichru od morza, walczą jeszcze o swobodę ruchów swych, buntują się przeciwko długim, ciepłym pończoskom, zapiętym pod szyjkę sukienkom i ubrankom i wszystkim, co zagraża im skrępowaniem i cieniem chociaż niewoli.



Demoralizację, w ruchliwe i tak bardzo dziś odporne, dzięki racjonalnemu wychowaniu cielesnemu, zastępy dzieci wniosła nierówna i kapryśna jesień, która z dnia na dzień inne miała oblicze.

W szereg dni słonecznych i ciepłych wplatała wprawdzie ostry i przejmujący chłód, od którego kurczyły się drobne ramionka w wełnę sweterów odziane, a ciekawe noski, o zaczerwienionych czubkach, kryły w puch ciepłych szalików.

Okres, w którego słońcu żyły jeszcze odzwieki niedawnej przeszłości, należy już dzisiaj też do wspomnień. Mali buntownicy, chłostani zimnem, poddali się konieczności i... macierzyńskiemu autorytetowi, naginając się łaskawie do momentu, któremu panują futra i wełna.

Paryż, gdzie dzieci są obrazem wdzięku, uroku i szyku, narzucił dziewczynkom paltociki czarne z białym w kratę, a właściwie w tak modną dzisiaj szachownicę. W ogrodach publicznych, które gromadzą zwykle liczne rozbawione rzesze dziecięce, rzuca się w oczy przede wszystkim czarna z białym kostka. Są to paltociki przyszłych elegantek, które dzisiaj nie uznają innych kapelusików, jak czarne i innych paltocików, jak pole krzyżówki przypominających.

Obwód z konieczności szeroki, paltocik w głębokie fałdy układany, spięty czarnym lakierowanym, lub ponsowym paseczkiem, bujne loki wymykające się niesfornie z pod taftowego kapelusika, oto był wizerunek paryskiej modnisi, która z wrodzonym sobie wdziękiem kroczyła przez zasypiane złotem jesiennych liści aleje parków miejskich, na drobnych zręcznych,

a powyżej kolan odsłoniętych, dziecięcych nożynek.

Wszechwładna moda futer, bez których nic się dzisiaj obejść nie może, wcisnęła się też i do światła dziecięcego, a małe istotki odziane w fantazyjne, efektownie i umiejętnie wyprawiane i farbowane futerka królicze, w czem celuje specjalnie Francja, śmiało mogą współzawodniczyć ze strojnemi rodzicielkami, które zaborczą i żadną modnych nowości dłońią, sięgną po najmodniejsze dzisiaj, rozfryzowane muflony, kosztowne szenszyle, gronostaje, foki i dziwacznie nakrapiane skóry tygrysów i lampartów.

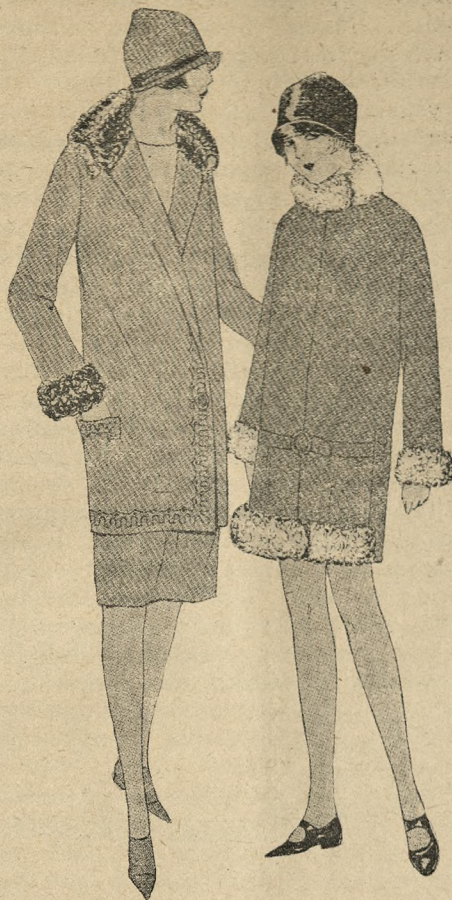
Futerka fantazyjne, z których przeważnie robi się dziecięce paltociki, są cienkie i niezbyt dobrze przed zimnem chroniące. Nielitościwa moda dorzuca jeszcze do tego przepisową długość, która jest w stosunku odwrotnie proporcjonalnym, do praktyczności i ciepła. Oko już tak nawykło do ubierania dzieci bardzo krótko, że barbarzyństwem, z punktu widzenia estetycznego zdawałoby się ubrać dziecko tak, jak nas za lat dawnych ubierano, mianowicie w „salopkę” do pięt, która miała wszelkie cechy praktyczności, a jednak trudno żałować, że te dzisiejsze, tak daleko odeszły od pierwowzoru.

Wobec mody koniecznością stał się dla każdego dziecka tak zwany „eskimosik”, który chroni dos-



konale, a wciągnięty pod lekkie futerko, nadaje mu właściwości prawdziwie ciepłego okrycia. Najładniejsze, bezwzględnie, są zawsze białe wełniane eskimoski, pasują do wszystkich barw i cieni i wyglądają strojnie i elegancko, względy praktyczne każą tu jednak palmę pierwszeństwa oddać kolorowi beige, który równie neutralny jest odporniejszy i praktyczniejszy, niż biały, tem więcej, że wełna prana niezbyt umiejętnie, kurczy się, zbija w twardą, zwartą masę i traci elastyczność, oraz pozór świeżości. W latach powojennych

zwrócono i u nas baczniejszą uwagę na wyprawę skórki swojskich. Mamy krajowe futerka królicze, w różnych cieniach i barwach, nadające się doskonale na paltka i czapeczki dziecięce. Króliki białe o lekko kremowym odcieniu, przybrane gronostajowemi ogonkami wyglądają ślicznie wykwinie. Korzystnie bardzo wyglądają też wszelkie



cienie popielate, od jasnego perłowego, aż po ciemny o stalowych odbłyśkach. Futerka królicze cięte na paski służyć też mogą do wykańczania trykotowych ręcznie robionych płaszczków i żakietów dzie-

cinnych. Widziałam raz na ulicy śliczną pięcioletnią dziewczynkę, ubraną w taki właśnie płaszczek koloru łososiowego. Wybitnie kłoszowy, okładany u dołu przy rękawkach i kołnierzyku, dość szeroko ciętym futerkiem, białego królika, wyglądał efektownie i elegancko, a w gruncie rzeczy był wytworem pracowitości, gustu i pomysłowości matki, która nie mogąc sobie pozwolić na ubieranie dziecka w kosztownym magazynie, sięgnęła do skarbnicy swej wyobraźni i trudny problem połączenia pięknego z pożytecznym, rozwiązała po mistrzowsku i ślicznie. Garnitur ten dopełniony takim samym kapturkiem, też futerkiem okładanym, mógł prawdziwie figurować na wystawie najpierwszego magazynu dziecięcego, a przy pogodnej jesieni, wykluczał konieczność sprawiania płaszczyka jesiennego, odciążając tem samym budżet domowy. *W. D.*



B A T I K



Modną dziś techniką zdobniczą stał się batik; chętnie uprawia go młodzież, uczęszczająca do szkół malarskich i zdobniczych, z zapalem batikują panie i panny, pragnące ozdobić własną pracą suknie lub mieszkania. Dla niej — i niejednemu — batik jest źródłem zarobku, — dla wielu jest przyjemnością, mimo, że jest techniką żmudną i pracowitą.

Batikowanie polega na cierpliwym pokrywaniu woskiem całego ornamentu, jaki ma zdobić tkaninę, — ornamentu, który w tej technice musi być drobny i bogaty w szczegóły.

Po włożeniu materiału do kąpieli farbiarskiej barwią się miejsca odkryte, — części woskiem założone zatrzymują kolor pierwotny. Wosk po ufarbieniu usuwa się czasem przez włożenie materji do gorącej wody, częściej przez wypra-

sowanie (przez bibułę) i wypranie w benzynie.

Im więcej kolorów się wprowadza, tem większą i dłuższą jest praca, gdyż za każdym, nowym kolorem potrzebne jest nowe, ochronne pokrywanie pewnych partij woskiem; pozatem komplikuje się barwienie batiku, gdyż nowy kolor daje z poprzednim kolor trzeci, często trudny do przewidzenia.

Jak już z pobieżnego opisu wiadać, — batik jest przede wszystkim techniką farbiarską, służącą do zdobienia tkanin barwnym ornamentem. Poza techniczną warawą w „pisaniu” woskiem i koniecznym doświadczeniem w farbowaniu, batik jest jeszcze probierzem dla fantazji twórczej — panuje tu bowiem nieograniczona swoboda w ornamentcie, zmuszająca do t. zw. „sypania z rękawa” motywów, przy

równoczesnem zachowaniu zasadniczych, logicznych praw kompozycyjnych.

Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że łatwość batiku jest tylko pozorna, — wynikająca z powierzchownego traktowania tego interesującego działy zdobnictwa. Tymczasem uprawianie tej techniki może być czemś więcej — jak modną, przemijającą zabawką. Jeśli ktoś zastanowi się raz jeden nad związkiem jaki ma ornament z przeznaczeniem danego kawałka tkaniny lub przedmiotu, — jeśli ktoś oglądając oryginalny jawański batik (choćby w reprodukcji) zadziwi się niezmiernemu bogactwu motywów i szlachetności tonów, — jeśli wreszcie ktoś sam zapragnie otrzymać n. p. wielką trwałość kolorów, lub nieprzeciętne i nieprzypadkowe ich zestawienie — ten zahaczy myślą

● cały świat zagadnień technicznych, farbiarskich i kompozycyjnych, które go mogą doprowadzić do robienia studjów i doświadczeń w tych dziedzinach.

— Są to jednak dalekie perspektywy, narazie pragnę przynieść garstkę ogólnych, początkowych wiadomości, które mają ułatwić początki batikowania.

Do sporządzenia batiku potrzebne są cztery rzeczy: 1) materiał, który chce się zdobić, 2) narzędko zwane „pisakiem“, 3) wosk mieszany z kalafonją (lub parafiną), 4) bajce i barwki. Należy do tego dodać jeszcze maszynkę spirytusową, lub gazową, nad której płomieniem stapia się wosk.

Jawajczycy używają do batikowania materiałów bawełnianych, które im jest najłatwiej sporządzić w odczynie drzew bawełnianych (opisuje te drzewa pr. M. Siedlecki w swem dziele p. t. „Jawa“), równie dobrze jednak batikuje się na płótnie lniennem, lub konopnem, na jedwabiu, skórze, pergaminie, lub drzewie. Najmniej nadają się do tej techniki materiały wełniane ze względu na farbowanie, — wełna bowiem łączy się trwale z barwikami w wysokiej temperaturze wrzenia, podczas gdy batików nie można włożyć do kąpieli farbiarskiej cieplejszej ponad 25° C.

Materiały świeże, zwłaszcza fabryczne — jak wszelkie gatunki płótna, perkale, surowy jedwab należy przedewszystkiem wyprać i wygotować w miękkiej wodzie, aby usunąć apreturę, która przeszkadzałaby zarówno przy woskowaniu, jak i farbowaniu.

Wysuszone tkaniny zaprawia się c yli bajcuje.

Płótno zaprawia się, mocząc je przez godzinę w roztworze z 50 gr. taniny, rozpuszczonej w 3 litrach wody, suszy się znowu i prasuje.

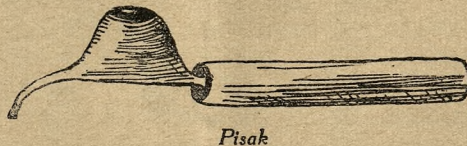
Jedwab zaprawia się przed woskowaniem i po farbowaniu w zimnym roztworze z 50 gr. ałunu na 1 litr wody miękkiej, mocząc go w tej zaprawie przez 24 godzin.

Bawełniane materiały moczy się w mieszaninie ługu drzewnego i oleju rycynowego (pół na pół), a po wysuszeniu szcztokuje się ługiem. Jeśli się powtórzy ten proces kilkakrotnie, susząc tkaninę na słońcu, nabiera biała bawełna złotawego, połyskującego tonu, — który się

często spotyka na batikach jawajskich. Mając barwki bawełnianą materję na czerwono, należy ją naoleić samym olejem i dopiero po wysuszeniu na słońcu wyszcztokować ługiem. Ułatwia to utrwalenie się koloru czerwonego, — którego cząstki trudniej się łączą z włóknami bawełnianymi.

Zadaniem zaprawy jest utrwalenie barwika w tkaninie; zaprawa łączy się zarówno z materiałem, jak z barwikiem, wywołując trudno — rozdzielnny związek włókien z danym kolorem. Dobrze zaprawiony i ubarwiony batik powinien być wytrzymały zarówno na światło, jak i pranie.

Tkaninę zaprawioną i wyprasowaną „zapisuje“ się woskiem, t. zn. rysuje się na niej ornament zapomocą wosku. Do czynności tej służy małe narzędko z blachy miedzianej, zwane „pisakiem“. Jest to niewielka miseczka, osadzona na



Pisak

drewnianej rączce i zaopatrzona w wygiętą ku dołowi rurkę, którą spływa roztopiony wosk. Przeważnie używa się pisaka z pojedynczą, cienką rurką, — gdyż charakterystyczną cechą batiku jest cienki, linijny ornament, wzbogacony przez liczne i drobne szczegóły. Potrzebny jednak czasem bywa pisak o szerokich rurkach do zalewania większych płaszczysz; można także zaopatrzyć pisaki w rurki podwójne i potrójne dla otrzymania kilku równoległych linii.

Wosk powinien przeniknąć materję nawskroś — by dokładnie ją ochronić przed barwikiem; musi więc być płynny, czysty i dobrze rozgrzany. Powinien być wosk pszczelny (nie sztuczny), — mieszany z parafiną, lub kalafonją. Niemcy, robiący wszystko z pedanterją — czyszczą i destylują wosk do batikowania, by go pozbawić kawałków piasku, roślinnych zanieczyszczeń i wody, — sprzedając go w handlu, jako specjalny wosk batikowy. Wątpię, — żeby u nas można go było nabyć, — w każdym razie i wosk i kalafonja powinny być

możliwie czyste, by rurka w pisaku nie zatykała się częściami stałymi i żeby mieszanina nie przyskała, topiąc się, lub nie spalała na czarno. Mieszaninę wosku i kalafonji stapia się w specjalnem naczyniu, biorąc na 2 części wosku 1 część kalafonji (w innej proporcji mieszanina odpryskuje z materji). Można ją doprowadzić do 100° C., — ale należy strzedz przed wrzeniem, gdyż zagotowana robi się krucha i również odpryskuje. Z naczynia — w którym się mieszaninę topiło, nabiera się ją i wlewa do pisaka; że nie należy czerpać pisakiem, jest rzeczą jasną, gdyż krople spływające z niego na materiał popsułyby całą pracę.

Ażeby ustrzedz mieszaninę batikową przed wrzeniem i utrzymać ją ciągle w temperaturze 100° — która pozwala spokojnie i równo batikować — podaje jeden z niemieckich podręczników następującą receptę. Napełnić garnek gliceryną, w przykrywcę wyciąć okrągły otwór i w nim umieścić naczynie z woskiem; — ogrzewając silnie glicerynę ogrzewa się i topi wosk. Przy tej metodzie niema obawy by wosk się spalił lub zakwapił, — wygodnem jest to, że długo się utrzymuje w tej samej temperaturze.

Bardzo pospolitym u nas sposobem ogrzewania wosku jest maszynka spirytusowa, lub świeca. Batikujące panie pozwalają mieszaninie wyziębnąć, — wkładają ją po trochu do pisaka i ogrzewają pisak nad płomieniem. Jest to utrudnienie w pracy; jeśli ktoś się na nie godzi, powinien przynajmniej unikać świecy, gdyż sadza, osiadając na pisaku, przeszkadza w ogrzewaniu się wosku, zatyka rurkę i brudzi masę, którą trzeba usuwać.

Jeśli miesza się wosk z parafiną, bierze się 3 części wosku i 1 część parafiny.

Materiał do batikowania należy rozpiąć na ramkach by się nie skręcał. Trzeba wielkiej wprawy jawajskich kobiet, by „pisać“ w powietrzu tak, jak one to robią — zawieszając materję pionowo i napinając ją lekko ręką.

Należałoby z kolei omówić czwartą czynność przy batikach t. j. barwienie. Jako najważniejszej jednak czynności, należy poświęcić mu osobny rozdział, co też rze czywiście uczynię.

Marja Zawadzka.



ZAKŁAD OGRODNICZY W ZALESZCZYKACH

Nie wszyscy wiedzą, że w Polsce jest miejscowość, w której na wolnym powietrzu, pod gołym niebem dojrzewają morele. Miejscowością tą są Zaleszczyki, położone w jarze Dniestrowym, zasłonięte nim z trzech stron i posiadające wskutek tego klimat południowy. Wprawdzie morele dojrzewają w całej Polsce, muszą mieć jednak wystawę południową, na zimę zaś trzeba je okrywać słomą i korzenie nakrywać liśćmi, lub gałęziami drzew szpilkowych. Nie można więc tej hodowli przedsiębrać na większą skalę, to też przeważnie hoduje się je z amatorstwa, aby i ten owoc mieć w swoim ogrodzie. Tu zaś w Zaleszczykach rosną nie okrywane na zimę zupełnie, aczkolwiek zimy bywają bardzo ostre, mroz dochodzi do 25° R. i trwa całymi tygodniami, a śniegi spadają tak obfite, że przerywają nawet komunikację kolejową z (Zaleszczykami).

Morele, szczepione na dziczkach morelowych, wyrastających z pestki, od małej roślinki nawykają do mrozu. W lecie są bardzo silnie wygrzewane promieniami słońca, którego natężenie jest ogromne, bo upały dochodzą do 35° R. Właśnie wskutek tej obfitości słońca, a małej ilości opadów (Zaleszczyki mają najmniej opadów w całej Polsce, deszcze, zazwyczaj w połączeniu z burzą, zwilżają ziemię mniej więcej raz na miesiąc), drzewo morelowe twardnieje i wcześniej jest gotowe do snu zimowego, niż w innych częściach Polski, zupełnie łatwo przeto zimuje.

Od bardzo dawna jednym ze źródeł znacznych dochodów tutejszych włościan, są sady morelowe, znajdujące się około każdej chaty. Jedno drzewo morelowe daje właścicielowi więcej dochodu, niż mógłoby pole, aczkolwiek ziemia tutejsza jest bardzo urodzajna. Nic przeto dziwnego, że lud hoduje morele z całym zamiłowaniem. Wogóle włościanin tutejszy, rusin, z natury leniwy, nie lubi pracy, więc morele, przynoszące duży dochód przy małym nakładzie kapitału i pracy, są wysoko przezeń cenione.

Morele zaleszczyckie są bez konkurencji na naszym rynku, gdyż z powodu obecnego zamknięcia granic i obłożenia wysokim cłem obcych owoców, morele krajowe są znacznie tańsze. Są też wcześniej na rynku, gdyż mają do odbycia o wiele krótszą drogę, niż zagraniczne, sprowadzane z Włoch, lub Węgier, mogą lepiej dojrzeć na drzewach i są o wiele smaczniejsze, niż zagraniczne, zrywane zawczasie.

Gleba w Zaleszczykach, tutejszy klimat, a zwłaszcza silne słońce, sprawiają, że morele mają słiczną, złotą barwę, ładny rumieniec, aromat i słodczy. To też odpowiednio zapakowane i wysłane, łatwo bić mogą na rynku owoc zagraniczny.

Niestety jednak pośrednicy w celu jaknajszybszego zrealizowania swych zysków zrywają zakupiony na pniu owoc zawczasie, pakują niedbale, wskutek czego wysyłane morele nie są tej jakości, jakie mogą produkować Zaleszczyki. Chłopi producenci nie połączyli się dotąd w żaden związek, dają się spokojnie wyzyskiwać pośrednikom, którzy niszczą sady i narażają właścicieli na straty.

Tutejsi włościanie wytworzyli już sobie pewne prawidła, dotyczące hodowli tej podstawy ich dobrobytu i tak: morele szczepią na dziczce, bo wówczas nie rośnie za głęboko i wytwarza drzewo, jakie jej najbardziej odpowiada t. j. niskopienne o szerokim rozgałęzieniu. Gałęzie, tuż nad ziemią rosnące, nie dopuszczają do zbyt szybkiego wysychania ziemi u nasady pnia, a także ułatwiają podpieranie gałęzek, obciążonych owocem. Radzą też nie orać pod morelami, bo oranie również suszy ziemię i nie dopuszcza do utworzenia się tej gliniastej skorupy na wierzchu, która właśnie jest potrzebna, bo do pewnego stopnia ochrania korzenie od zamarznięcia. Ponadto drzewo niskopienne ma większą siłę do stawiania oporu wiatrem, które nie szarpia niem tak, jak wysokopienne. Niestety, tych prawideł, na długoletniej praktyce opartych, nie przestrzegano w Krajowym Zakładzie Sadowniczym, a gdy morele poczęły ginąć, na ich miejsce poczęto sadzić plantacje jabłoni, a także i grusz. Lecz znów nie ustrzeżono się błędu za głębokiego sadzenia, wskutek czego i te drzewa poczęły z kolei ginąć, mając nieraz korzeń za głęboko o pół metra

i więcej. Obecny Dyrektor Zakładu Sadowniczego dr. Władysław Kubik, widząc, że drzewa giną setkami, zwrócił się do Ministerstwa Rolnictwa z prośbą o wydelegowanie specjalnej komisji, która zakwalifikowała 2.300 jabłoni i grusz do wycięcia. Drzewa wycięte dyrektor Kubik już w niedługim czasie zastąpi morelowymi i brzoskwiniowymi, które, jego zdaniem, winny być hodowane w Zaleszczykach, jako jedynej miejscowości w Polsce, gdzie one dojrzewają, podczas gdy jabłonie, grusze i śliwy hoduje się w całej Polsce. Brzoskwinie są tu doskonałe, a winogrona tak wspaniałe, że nie ustępują winogronom z Tyrolu, Węgier i Rumunii. W gruncie, pod gołym niebem, dojrzewają też zupełnie dobrze melony i kawony, bakłażany i papryka; również wytwarzają tu nasiona wszystkie te rośliny, które wskutek braku dostatecznego ciepła, gdzieindziej nie mają nasion. Najdelikatniejsze tytońki mogą tu nie tylko rosnąć, lecz i wytwarzać nasiona. To też odpowiednie wyzyskanie tutejszych terenów i zaprowadzenie plantacji tytoniu na szeroką skalę, zatrzymałoby w kraju pieniądze, które płacimy za tytoń rumuński, turecki i inne.

Posadzony, staraniem dyrektora Kubika, rośnie już młody, mający 4½ roku, sad morelowy, oraz szkółki drzew morelowych i brzoskwiniowych. Założona młoda winnica, na miejsce zmarniałej w czasie wojny, da nam możliwość już w ciągu lat najbliższych delectować się naszymi winogronami, nie gorszymi od zagranicznych.

Delegaci Ministerstwa Rolnictwa poparli projekt rozszerzenia działalności Zakładu Sadowniczego w Zaleszczykach, nie tylko na hodowlę i badanie drzew owocowych (stacja doświadczalna), ale i na hodowlę rozmaitych roślin ogrodowych, udających się w tym klimacie, wskutek czego obszar zakładu powiększono do 20 morgów. Zwolna też z ozdobnego francuskiego ogrodu zmienia się on na gospodarczy i produkcyjny. Przy Zakładzie w Zaleszczykach jest praktyczna szkoła ogrodnicza. Młodzież pracuje tu przez cały rok, przy wszystkich kulturach, mając w zimie więcej wykładów, w lecie zaś więcej praktyki. Za ową praktyczną naukę otrzymuje uczący się tu młodzieniec mieszkanie, życie i nieco grosza na obuwie i drobne wydatki. Jest to jedyny zakład w tym rodzaju w naszym Państwie.



Jakkolwiek kształci się tu razem młodzież różnego typu i o różnych kwalifikacjach, to mimo to, Zakład w Załęszczykach spełnia doskonale swe zadanie, a ponadto, wychowując młodzież, przeważnie ubogą i dając jej utrzymanie, odgrywa niezwykle dobroczynną rolę. Wśród tej młodzieży znajdują się i doskonali pracownicy, rzeczywiście zamilowani w swym zawodzie.

Możnaby otworzyć tu szkołę i dla kobiet, jest bowiem odpowiedni budynek, niestety brak na to funduszy.

Te z nas, które mogłyby coś uczynić w tej sprawie, może zechciałyby się nią zająć.

Przy Zakładzie istnieje fabryczka przetworów owocowych. Fabryczka ta jednak narazie czyn-



na jest w bardzo małym zakresie gdyż jeszcze brak jest materiału do przerobu. Z czasem, gdy obecna racjonalna gospodarka zacznie wydawać plony, fabryczka rozrośnie się i powiększy produkcję.

Powinniśmy jak najbardziej wykorzystać dla produkcji owoców południowych ten jedyny w Polsce zakątek, gdzie na wiosnę, nagle giną śniegi, tak, że po kilku dniach można już orać i siał, gdzie niemal zaraz po deszczu jest sucho, a pochylenie terenu ułatwia silne promieniowanie słońca. *Stella Olgierd.*

PRAKTYCZNE PROWADZENIE DOMU

„Praktyczne prowadzenie domu” nazwała tę książkę Krystyna Frederick. Pierwszy jej rozdział traktuje o normalnej wydajności pracy i naukowem prowadzeniu domu. Cała książka jest rezultatem ciągłej i codziennej pracy nad uproszczeniem, ułatwieniem i przyspieszeniem wykonywania wszelkich czynności, wykonywanych codziennie przez panią-gospodynię domu. Tak panią — bo w Ameryce służby już prawie niema, według ankiety przeprowadzonej przez p. Fredericka zaledwie 8% rodzin amerykańskich posiada służbę. Jeżeli uwzględnić bogaczy, dających zajęcie kilku służącym, okaże się, że inteligencja, klasa pracująca, wcale stałej służby nie posiada. Autorka wylicza kilka rodzin ze swego otoczenia: rodziny dwóch techników, dwóch kupców, malarza, lekarza, adwokata, dziennikarza i literata, — wszystkie mają tylko od czasu do czasu przychodnią pomoc do wielkiego sprzątnia i do prania, — i nawet do prania — tylko pomoc. I ludzie w tych warunkach mają odwagę zakładać ogniska domowe, mieć i wychowywać dzieci. I są kobiety wykształcone, które lata panieńskie oddawały sportom i sztuce, a nie wahają się życia całego poświęcić gotowaniu, praniu, sprzątnaniu, nauczaniu dzieci, szyciu dla nich, — tak im drogiem jest to życie rodzinne, to szczęście domowe, mąż, dzieci, ognisko swego „home”. Pani Frederick przez lat kilka prowadziła dom swój cały (dwoje dzieci czterojedynaczki, gotowała cztery posiłki dziennie, sprzątała pięć pokoi, kuchnię i łazienkę, szyła ubranka dzieci, robiła codzienne wanny wszystkim — no i była zamęczona, narzekała, że nie zawsze ma czas pograć wieczorem na fortepianie,

zaakompanjować do śpiewu mężowi, przeczytać z nim gazetę, lub interesującą książkę. Rozmowa z inżynierem, organizującym pracę w fabryce w kierunku jej usystematyzowania i większej wydajności, naprowadziła ją na myśl robienia prób w tym kierunku u siebie w domu. Rezultat przeszedł oczekiwania. Jako zasadę przyjęła normalną, w danym wypadku najwyższą, wydajność pracy przy najmniejszym wysiłku. Więc przedewszystkiem dokładnie wystudjowała wszystkie ruchy, wykonywane przy czynnościach gospodarskich i doszła do tego, że zmniejszyła je do minimum za pomocą ustawiania tak mebli i narzędzi kuchennych i stołowych, aby ani jeden ruch nie poszedł na marne. Naprzykład w kuchni stoi lodówka i szafa spiżarniana, bierze się z nich produkty, dalej stół, przyrządza na nim potrawę, dalej blacha, smaży na niej, czy gotuje posiłek, obok blachy przygotowany stół, składający się z dwóch tac na kółkach, stawia się na nim potrawy i przesuwa do jadalni. Stół ruletka stoi obok pani domu, która potrawy stawia kolejno na stół, a puste naczynia, po nich, talerze i sztuce, odstawia na tacę w miarę ich opróżniania. Po jedzeniu stolik-ruletka wynosi się do kuchni, tylko jedzie już wprost pod zlew, naczynie się zmywa gorącą wodą, aby zaraz schło, zmywakiem, aby oszczędzić ręce, stawia na podstawie drucianej, co oszczędza robotę wycierania i odstawia do szafy naczyniowej obok zlewu i na półki nad nim. Naczyń tych używa się dużo, bo potraw jest dużo, pani F. mówi, że po obiedzie czterech osób ma do zmycia 72 sztuki porcelany, nie licząc szkła i rondli, które wymagają innego traktowa-

nia. Dawniej zmywanie zabierało jej dużo czasu, dzisiaj kończy je wraz z uporządkowaniem naczyń i przechowaniem resztek obiadu w lodówce i spiżarni zabiera jej trzydzieści minut. Podaję ten przykład, jako najbardziej zrozumiały. Wszelkie roboty inne są dzięki dokładnemu rozplanowaniu ich i unikaniu zbytecznych ruchów obliczone dokładnie na czas jaki zajmują, np. kąpanie dziecka — 15 minut, mieszanie chleba — 12 minut (chleb się piecze w domu), robota leguminy 12—15 minut, sprzątnanie pięciu pokoi 30 minut, mieszanie bułek („muffins”) 6 minut, sprzątnanie łazienki 20 minut, czyszczenie sreber 40 minut (jest ich jak widać sporo), robota pasztetu 10—12 minut, i t. p.

Wysokość stołu, blachy, zlewu są tak obliczone, aby nie męczyły osoby pracującej, powinny być na wysokości jej rąk, przyrządzać potrawy należy siedząc, a nie stojąc, tak samo zmywać naczynie. Wszystkie przyrządy powinny mieć swoje raz na zawsze określone miejsce, wszelkie noże, tłuczki, moździerz, maszyny do mięsa i t. p. nad stołem, łyżki, szurówki, durszlaki nad blachą, zmywaki, szczotki, ścierki nad zlewem, ani jeden ruch, ani jeden wysiłek nie powinien być zbędny napróżno.

Autorka jest nieprzyjaciółką pieców węglowych, jako wymagających dużo pracy przy rozpalaniu, brudzących ręce, naczynia, a nawet kuchnię, która oczywiście, będąc miejscem pracy pani domu przez połowę dnia prawie, powinna być nie tylko czysto, lecz nawet ładnie i estetycznie urządzona. Tam gdzie niema gazowych instalacji, radzi ona piece naftowe, — u nas nie wiem czy takie istnieją — ponieważ jes-

teśmy jednak krajem, posiadającym olbrzymie źródła nafty, byłoby może wskazaniem, aby takie piece zaczęto wyrabiać. Mają one wszystkie części składowe zwykłej blachy, szczególnie dobrze urządzone piecyk do pieczenia, co w Ameryce, gdzie chleb i bułki do herbaty gospodyni piecze sama w domu, jest koniecznym. Poza to nie jest p. F. bezwzględnie zwolenniczką stosowania maszyn, — twierdzi ona słusznie, że nieraz skomplikowany przyrząd więcej wymaga czasu na rozzebranie go na części, oczyszczenie i zmontowanie znowu, niż oszczędzi czasu w robocie. Radzi ona obliczyć dokładnie, czy jakiś przyrząd opłaci koszt jego nabycia i w wielkiej części, gdy chodzi o skomplikowane przyrządy, dochodzi do przekonania, że — nie. Ponieważ dzisiaj mówię przeważnie o kuchni, posiada ona przede wszystkim maszynkę do siekania mięsa, — to narzędzie jest u nas tak rozpowszechnione nie tylko w mieście, ale nawet po chatach wiejskich, że nie będę o niem chyba potrzebowała mówić, — natomiast ze zdziwieniem dowiedziałam się, że w Ameryce należy gorąco polecać gospodyniom jej użycie. Poza to przyrząd do przecierania kartofli, owoców, marmelad łatwy i prędki w użyciu, przyrząd do zbijania jaj i białek. Te dwa ostatnie przyrządy szczególnie cenne tam, gdzie dużo potraw z jaj lekkich i pożywnych i dużo owoców na legominy i ciasta się używa. Karafka, utrzymująca lodową temperaturę wody, imbryk do kawy, konserwujący jej aromat i tem podobne praktyczne drobiazgi, ale żadnych nadzwyczajnych elektrycznych przyborów, w rodzaju anegdotycznej maszyny masarskiej, do której frontowego otworu wpuszcza się żywego wieprza, ażeby z końcowego otworu otrzymać gotowe już wędzone kiełbaski. Przyrządy pomocnicze dzieli autorka na cztery grupy: 1) oszczędzające opał, 2) oszczędzające wysiłek przy pracy, 3) oszczędzające samą pracę i 4) oszczędzające czas. Uważa ona, że największym wydatkiem przy przyrządzaniu posiłku jest opał i zwraca uwagę na możliwie wielkie oszczędzanie go, i poleca wyszukiwanie sposobów największego oszczędzania i najdokładniejszego używania ciepła. To też jest ona wielką zwolenniczką gotowania bez ognia, (raczej dogotowywania bez ognia) w przyrządach, noszących nazwę „kociołek norweski”. Każdą potrawę, dopiero zaczęta gotować, wstawia się do skrzynki, doskonale izolowanej, w której ona w ciągu kilku godzin dochodzi, nie wymagając żadnych

specjalnych starań i nie przypalając się, ani przydymiając. Do pewnego stopnia taki przyrząd może zastąpić gniazdo z papieru gazetowego, które podawałam już dwa razy w *Bluszczu* przy „obiadach na maszynce”, konserwuje ono potrawę w cieple czas dłuższy, przyczem niektóre dania, np. kaszę, kartofle, mięso duszone, nawet dochodzą, używając jednak dwa razy tyle czasu, co przy gotowaniu na blasze, lub maszynce. Poza to do gotowania wody, herbaty, kawy, zup i t. p. poleca p. F. naczynie o szerokim dnie, zwężone ku górze, jako najlepiej mogące wykorzystać powierzchnie nagrzane i najmniej stygnące. Jest zwolenniczką naczyń aluminiowych, jako cienkich, prędko się ogrzewających, niełatwo stygnących i dających się łatwo oczyszczać. Poza to uznaje dobre naczynia emaljowane, — dobre t. j. takie, w których emalja nie pęka łatwo, — wiemy niestety, jak trudno u nas w Polsce o takie — przede wszystkim więc aluminium.

Pokutuje też u nas legendarne podanie, że w Ameryce wszystkie produkty dostarczają do domu. Pani F. potwierdza to, zaznacza jednak, że wszelkie produkty kupuje co drugi dzień sama, gdyż ma je taniej i lepiej może wybrać, robi to w czasie popołudniowej przechadzki z dziećmi, aby nie zużywać specjalnie drogiego czasu, chodzi tu o mięso, rybę, owoce, jarzyny wszelkie; większe zakupy: cukier, mąkę, masło, szmalc, kaszę, makaron, konserwy i t. p. robi raz na miesiąc, lub nawet raz na dwa tygodnie, przyczem przy praktyce dłuższa doszła do ścisłego obliczania potrzebnych ilości. W tych zapasach dosyć poważną rolę grają konserwy mięsne, rybne i owocowe, — a to, aby móżdż przyjąć śniadaniem, lub powiększyć jadłospis obiadu w razie niespodziewanych gości, — gdyż p. F. przy swoich rozlicznych zajęciach jest bardzo towarzyską. Piszę, że ma dużo znajomych, którzy ją często odwiedzają, przyjmując wizyty, wykańcza ręcznie pozszywane uprzednio na maszynie ubranka dzieci. W dnie, kiedy nie robi zakupów kuchennych, odwiedza bliższych znajomych z dziećmi, dwa wieczory tygodniowo spędza poza domem, przyczem przy dzie-

ciach pozostaje opłacona za to znajoma panienska, zresztą dzieci śpią już o 6-ej, obiad rodzice jedzą bez nich o pół do siódmej. O siódmej skończone wszystko i pani F. może grać, czytać, śpiewać, pisać książki, czy artykuły, iść do teatru, — byle tylko nie położyć się po północy, bo o pół do siódmej należy już wstać. Co prawda sypia od 1—2 w dzień, jednak i tak zasługuje na naszą admirację i wzbudza chęć naśladowania jej chociaż w części.

(c. d. n.)

Pani Elżbieta.

OBIADY NA MASZYNCIE

(na 3 osoby)

I.

Zupa ogórkowa.

Bitki cielęce z ryżem.

Kisielek czekoladowy.

Naprzód zrobić kisielek. Zagotować trzy szklanki wody ze szklanką cukru z trzema łyżkami kakao, wsypać w to nieco utłuczonej z cukrem wanilji, zaprawić małą filiżanką rozbitej z wodą zimną, mąki kartoflanej, raz dać zawrzeć, wylać na salaterkę i wystudzić dobrze. (Można zrobić z rana), do tego się podaje pół litra zimnego mleka. Szklankę ryżu ugotować na wodzie z kawałkiem masła, osolic, wstawić w gniazdo. Wziąć kilo forszlaku cielęcego, odjąć nerkę, mięso starannie zdjąć z kości, uformować zeń trzy zgrabne bitki (w rodzaju sznycli). Gdyby kawałki były niezręczne, przepuścić mięso przez maszynkę, lub usiekać, czy zeszkrobać je nożem i dopiero wtedy bitki uformować, niech tak leżą na desce. Kostki z cielęciny i nerkę zalać półtora litrem wody i nastawić na zupę, włożyć pół marchwi i kawałek pietruszki, gdy się zagotuje, zszumować, knot trochę przykręcić i gotować, aż nerka zmięknie. Trzy duże kartofle pokrajać w kostkę, opłukać i wrzucić na rosół. Nieduży ogórek, (kupując poprosić, aby dali pół filiżanki rosółu ogórkowego), obrać delikatnie i pokrajać w plasterki, gdy kartofle miękkie, wrzucić ogórek, wlać rosół, razem zagotować, kości wyjąć, pozostałe mięso obrać, nerekę pokrajać w cienkie plastry, wrzucić w zupę, osolic do smaku i wstawić w gniazdo. Na patelni zrumienić sporą łyżkę masła, bitki dopiero teraz osolic, położyć na masło, zrumienić z obu stron, knot przykręcić, smażyć na wolnym ogniu, aby wewnątrz doszły. Podając ryż



Do numeru dzisiejszego dodajemy

ARKUSZ Z WZORAMI OZDÓB CHOINKOWYCH

i opisem jak je wykonać należy. Czytelniczki, które nie posiadają zeszłorocznego arkusza ozdób choinkowych, mogą go otrzymać po przesłaniu 65 gr. przekazem, lub markami pocztowymi.

wyłożyć na półmisek, lub talerz, bitki obok niego. Na masło na patelni wlać pół filiżanki wody, zagotować i tym rumianym sosikiem polać ryż. Półmisek przykryć patelnią, aby nie wystygło i podawać zupę.

II.

Rosół z ryby.

Lin z cebulowym sosem i kartoflami z wodą.

Kompot ze śliwek suszonych.

Na noc namoczyć w zimnej wodzie filiżankę kaszy perłowej, aby dobrze napęczniała, 20 deka (pół funta) śliwek suszonych wymyć w dwóch wodach, nastawić z trzema szklankami wody i pół szklanką cukru, wrzucić dwa goździki, lub kawałek cynamonu, gotować, aż śliwki dobrze zmiękną i napęcznieją, wylać na salaterkę i wystudzić.

Dziesiątek kartofli obrać, ugotować, gdy miękkie, odlać nieco osolić, przetrząść w garnku, przykryć szczelnie pokrywą i wstawić w gniazdo. Około $\frac{3}{4}$ kilowego lina oskrobać tarką, wyjąć wnętrzości z niego, uważając, aby nie rozduścić żółci, osolić wewnątrz i zewnątrz, niech tak poleży, zanim się kartofle ugotują. Nastawić półtora litra wody na rosół, włożyć dużą cebulę, przekrajaną na połowę, marchew, kawałek pietruszki, kilka ziarn pieprzu i listek, wsypać namoczoną kaszę perłową, gotować aż lin zmięknie, osolić do smaku, lina wyjąć na półmisek, przykryć talerzem i serwetą, aby nie wystygł, zupę wstawić w gniazdo. Dużą cebulę mieć już pokrajaną w plastry, zrumienić łyżką masła, zasmażyć łyżką mąki, rozebrać szklanką rosółu z ryby (pozostawić w tym celu rosół bez kaszy), włożyć her-

batnią łyżeczkę cukru, łyżkę octu i jeżeli jest łyżkę śmietany, zagotować razem. Maszynkę zgasić, sos trzymać na niej, podawać zupę. Po jej zjedzeniu, polać rybę gorącym sosem, obok położyć kartofle i podawać póki ciepłe.

Pani Elżbieta.

Przepisy gospodarskie



„CHAUD-FROID“ Z KWICZOŁÓW

Kwiczoły, tak wyborne w smaku, są do jedzenia równie kłopotliwe, jak raki, ogryzanie drobnych kostek jest wysoce nieestetyczne, to też na największych zebraniach, o ile je podają, zjada się przeważnie dwa małe kaski, wykrajane z piersi ich, a kto to lubi, słoninkę i grzankę. Robiąc natomiast z nich „chaud-froid“ zużytkowujemy je w całości i mamy wykwintne danie, szczególnie do kolacji i śniadań „à la fourchette“, gdzie się je na stojąco.

Kwiczoły, oczyszczone, jak zwykle, z zachowaniem wewnątrz wątróbki, owinąć każdy plastrem słoninki, osolić, upiec, lub udusić, jak zwykle, na pieczyście.

Mięso najstaranniej oskrobać z kości, kości piersiowe zachować, wszystkie inne zalać wodą, aby objęło, włożyć nóżkę cielecą, marchewkę, pietruszkę, kawałek selera, parę ziarn pieprzu, listek i gotować na wolnym ogniu, aż się nóżka rozpadnie i płynu zostanie niewiele więcej szklanki, z braku nóżki rosół zaprawić trzema listkami żelatyny, w każdym razie zakolorować zlekką karmelem. Mięso z ptaszków ze słoninką, w której się dusiły, przepuścić przez maszynkę, na dziesięć ptaszków dodać trzy żółtka, ugotowane na twardo, pół funta tłustej szynki gotowanej, wszystko dwa razy przepuścić przez maszynkę, dodać żdziebełko gałki muszkatełowej, osolić i opieprzyć do smaku, ułożyć ładnie na kostkach piersiowych, aby wyglądały jak całe ptaszki, zamoczyć ze dwa razy w stygnącej galaretkie z kostek, ułożyć na zimnym półmisku, ubrać sałatką z jarzyn, lub zieloną sałatką i podać z sosem majonezowym.

* * *

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka, wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102-77.

Ponieważ otrzymujemy niejednokrotnie od Czytelniczek naszych zapytania, dotyczące przygotowania najprostszych codziennych potraw, postanowiliśmy podawać w każdym numerze *Bluszczu* obok zwykłych przepisów kilka wiadomości elementarnych z dziedziny gotowania.

GOTOWANIE KARTOFLI

Kartofle, czy to w łupinach, czy obierane, należy nastawić w zimnej wodzie, soli się wodę dopiero na dogotowaniu, gdy kartofle już można łatwo przekłuć widelcem, wodę się odlewa, garnek się zakrywa pokrywą i mocno potrząsa, poczem przykryte kartofle stawia się jeszcze na minut parę na brzegu blachy, aby doszły i stały się mączyste.

Jeżeli kartofle mamy smażyć, należy je obierać, dopóki są dobrze gorące, zaraz po odlaniu z nich wody, (stojąc w wodzie po ugotowaniu, popękałyby, odwodniały i stały się nie do użycia). Zimne, wystygnięte kartofle trudno się dają obierać. Obrane kartofle, jeśli nie są przeznaczone do natychmiastowego użytku, należy przykryć miską, lub szmatką, aby nie obsychały po wierzchu. Kartofle obierane przed gotowaniem, należy dopóki gorące zaprawić słoniną, lub masłem z cebulką, jeżeli są przeznaczone do utłuczenia, utłuc natychmiast, dopóki bardzo gorące, jeśli na purée, przepuścić zaraz przez maszynkę, lub przetrzeć przez durszlak.

Na kluski, placki i kotlety kartoflane, można przecierać kartofle nawpół ostygnięte, a nawet zupełnie zimne, wymagają tylko wtedy dodania większej ilości mąki i jaj, gdyż łatwo wodnieją, można jednak tak zużytkować kartofle, pozostałe z dnia poprzedniego.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Dla ochrony ścian od zdzierania obić meblami — trzeba przyśrubować do podłogi ruchomą listewkę w miejscach odpowiednich.

* * *

Szczotki i miotełki, dla utrzymania w porządku — trzeba raz w tydzień wymoczyć w dwóch litrach gorącej wody z dodaniem 2 łyżek amonjaku.

Korespondencje działu praktycznego

E. R. Radzyń podlaski.

Na rozszerzone pory trzeba stosować masaż specjalny. Na noc wycierać twarz spirytusem rezorcynowym 2 proc.

O włosach nie podaje pani żadnych szczegółów, czy są suche, czy tłuste i t. p., więc nic poradzić nie mogę. Czy przechodziła pani jakie poważne cierpienia? Co do tasiemca trzeba się udać do lekarza chorób wewnętrznych?

A. K. wojew. Wileńskie.

Cera pani wymaga poważnego leczenia, a przede wszystkim cierpliwości w wykonaniu, bo po paru zabiegach rezultat dobry rzadko się osiąga.

Więc na noc myć twarz w gorącej wodzie, po osuszeniu natrzeć lekko spirytusem salicylowym 1%.

Rano twarz umyć w letniej wodzie, natrzeć kremem pod nazwą „Mój Krem” i lekko zapudrować pudrem Karpińskiego. Trzeba też stosować masaż i parówki.

Lilla Veneda.

Mydło do twarzy alkaliczne Karpińskiego, puder Karpińskiego. Przed upudrowaniem wytrzeć twarz spirytusem salicylowym 1 proc., lekko natrzeć odrobiną kremu „Mój Krem” i zapudrować.

Na odmrożone ręce: moczyć w gorącej wodzie z sodą, a po osuszeniu wetrzeć krem Arbothermu Dr. Vieganda.

A. W. Jaworów.

Miejsce na twarzy objęte wgrami natrzeć należy na noc, następującym lekarstwem, 2—3 razy w tygodniu:

comph.

gumi arab. 1,5

A₂ calcis 40,0

Sulf. praecip. 70

zmieszać przed użyciem.

Rano po umyciu ciepłą wodą natrzeć twarz kremem „Mój Krem” i zapudrować.

Prenumeratorce z Poznania

Od tego, w jakim są stanie odmrożone ręce, zależy kuracja. W pierwszym, najłżejszym stosować wcieranie doskonałego środka Arbothermu, Dr. Vieganda. — W drugim stopniu odmrożenia, silniejszym, moczyć w gorącej wodzie z sodą i nacierać tymże kremem. Przy odmrożeniu zaś najsilniejszym, tylko lekarz po zbadaniu może stosować systematyczne leczenie.

Uran.

Co do powiek, stosować należy rodzaj masażu, maścią rtęciową, żółtą. Wcierać 5 minut w obie powieki.

Włosy zawsze odrastają, chyba zastosować elektrolizę, b. kosztowny i uciążliwy zabieg — chwilowo usuwa włosy Depilatoir Orient. Nazwaną przez panią myszkę bez lekarza usunąć się nie da, gdyż trzeba operacji, lub zastosować Röntgena, Rad i t. p.

Prenumeratorka.

Proszę się zgłosić dla omówienia warunków do mnie od 5 do 7 w.

P. Maryli Z.

Obecnie wszystkie panie dbają o swój wygląd estetyczny i epilują włosy pod pachami. Przy modzie krótkich rękawów, jest to poprostu niezbędne, a wystawianie na widok publiczny pachy z włosami jest nieprzyzwoite. Pyta pani czym zniszczyć włosy pod pachami.

Radykalnie się nie da, chyba elektrolizą — można używać żyłki, gdy się umie z nią obchodzić, lecz najlepszy sposób bez kłopotu stosować „Depilatoir Orient”.

Sposób użycia zmieniam nieco, wypróbowany, praktyczny. Proszek depilatoir, zmieszany z odrobiną wody na rzadką masę, nakładać dokładnie na włosy, następnie przyłożyć płatek waty, zmoczony w wodzie i wyciśnięty — po 5 ciu minutach zdjąć watę i tępym nożykiem zeskrabć masę wraz z włosami, obmyć, posmarować kremem i opudrować.

Stokrotka.

Nic dziwnego, że pani waha się, jak określić rodzaj skóry, bo są skóry, które tylko lekarz po zbadaniu może zakwalifikować. Narazie niech pani stosuje „Mój Krem” przez tydzień, jak na cerę tłustą, a następny tydzień według wskazówek, jak na cerę suchą.

Selma R. Warszawa.

Bardzo się cieszę, że rezultaty używania kremu są tak nadzwyczajne. Uważam tylko, że pani za obficie go używa — powinien wystarczyć na miesiąc jeden słoiczek.

Marja St. Bielsk.

Proszę o podanie szczegółów, jak dawno Pani przestała leczyć odmrożone członki — czy odmrożenie było lekkie, to znaczy, czy tylko odziębienie, czy odrazu były ranki. Jakich środków dotychczas Pani używała?

Brwi przyciemnić może tylko farba.

Marja Z.

Ogromnie się cieszę, że skóra na piersiach poprawiła się. Rada na tę dolegliwość Pani leżała w kresie mojej specjalności — ale o dziecku i sprawy z tem związane musi się Pani udać do specjalisty.

Co do włosów, to bez podania szczegółów, nic się poradzić nie da.

M. w Mochali.

Nie można przepisać leczenia na odmrożenie rąk i nosa, jeżeli się nie zna szczegółów, jak dawno odmrożone, w jakim stopniu było odmrożenie, czy skóra jest ogólnie b. wrażliwa i t. p.

T. D. Wilno.

Niech Pani przesła włos, wyrwany z cebulką, dla analizy. Honorarium 25 zł. wraz z analizą.

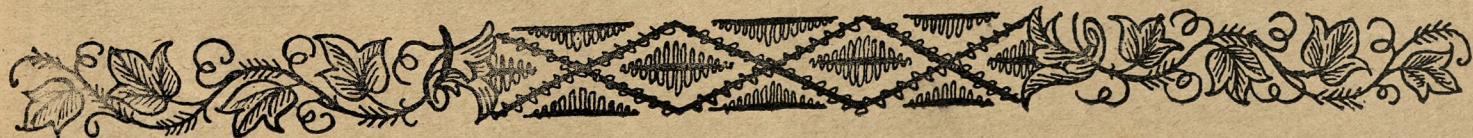
List zostanie wysłany zaraz po otrzymaniu włosa.

M. P. skrz. poczt. 31.

Cierpienie Pani nie leży w zakresie mojej specjalności.

Choroby kobiece musi leczyć ginekolog i to pod warunkiem osobistego zbadania chorej. Na obchudzenie trzeba stosować masaż, sporty, specjalne odżywianie, ale po uprzednim wyleczeniu chorób kobiecych, gdyż inaczej nie można środków tych stosować.

List został wysłany pacjentce mojej o podobnym tylko adresie.



W. W. Studentka.

Silnych środków złuszcza-
jących bez zbadania i pozna-
nia skóry dać nie można i wo-
góle jest wątpliwe, czy dużo
w tym wypadku dałoby się
zrobić. Pozostaje masaż, ale
koniecznym jest osobiste zgło-
szenie się.

J. S. Kielce.

Na uniknięcie róży środków
niema.

Jedynie zapobiegawczemi
środkami mogą być ogólna
dbałość o higienę, czystość i
wzmocnienie całego organiz-
mu.

S. W. Warszawa.

B. dobrze opisała Pani swe cier-
pienie.

Proszę o przysłanie włosów z gło-
wy i z rzęs, wyrwanego z cebulką,
dla analizy.

Przytem trzeba leczyć anemię,
bo to może być przyczyną cierpie-
nia Pani.

Pozatem odsyłam Panią do od-
powiedzi E. F. Włoszczowa.

Marja B. Śląsk.

Przedwczesne zmarszczki dosta-
ła Pani z powodu choroby. Żeby
mieć piękną cerę i nie mieć
zmarszczek należy być przede-
wszystkiem zdrową — i zawsze
trzeba wszystko poświęcić, zwa-
lając wszelkie trudności, byleby
wyleczyć podstawową chorobę.

Bez zobaczenia nie można leczyć
choroby kobiecej, ani też żołądka.
Musi Pani się udać do specjalisty
tych chorób — a po wyleczeniu
można poprawić cerę. Co warte
będą zabiegi kosmetyczne, gdy ca-
ły organizm jest nie w porządku.


Pozatem odsyłam Panią do od-
powiedzi E. F. Włoszczowa.

* * *

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada
stałym Czytelniczkom na wszelkie
pytania, dotyczące życia domowego,
gospodarstwa, mód, robót i t. d.
Listy należy adresować do redakcji
działu praktycznego, załączając
znaczek pocztowy na odpowiedź
i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie
bez adresu, Redakcja odpowiadać
nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno,
a wobec wielkiego napływu listów,
nie zawsze mogą być umieszczone
w najbliższym numerze „Bluszczu“.



Rozwój umysłowy i fizyczny
dzieci Waszych leży Wam na
sercu. Płatki owsiane
Quaker Oats
są pokarmem do tego
najodpowiedniejszym,
dają zdrowie i siły
rozwijają umysł
dziecka.

Quaker Oats

Opis sukien i robót do Nr. 48

918. Palto z przerabianej wełny, okła-
dane jaśniejszym sukniem.

919. Palto z materiału gładkiego i w
kratę.

920. Suknia z granatowego sukna z pli-
sowanym przodem.

921. Suknia jasno-popielata, przybrana
haftem i guziczkami.

922. Kostjum z brązowego welwetu
przybrany futrem.

923. Palto sukienne okładane aksami-
tem lub futrem.

924. Palto z sukna w dwóch kolorach
925. Suknia z piaskowej wełny przybra-
na kolorowym, haftowanym szlakiem.

926. Kostjum sportowy. Spodeńki z weł-
ny w kratkę. Kamizelka i żakiecik z wło-
chatego, ciepłego materiału, kołnierz fu-
trany.

927. Kostjum sportowy. Spódniczka w
kratę, żakiecik z trykotu w odpowiednim
kolorze.

928. Kostjum do ślizgawki z brązowe-
go welwetu okładany futrem.

929. Kostjum do ślizgawki. Spódniczka
w kratę—plisowana—kaftanik z gładkiego
sukna lub zamszu.

930. Bluzka z crêpe de chine'u ukła-
dana w fałdki z gładkim karczkiem.

931. Bluzka z sukienka szaro-lila z ko-
ronkowym kołnierzykiem.

932. Sukienka z deseniowej flanelki
lub woalu z gładką kamizelką.

933. Sukienka z deseniowej flanelki.
Kamizelka z welwetu obszyta futrem.

934. Stroja sukienka dla małej dziew-
czynki przybrana haftem.

935. Kostjum dla dziewczynki od lat
6 do 8 z sukienka w dwóch kolorach.

936 — 937. Serwetka i serwetka — haft
angielski i atłaskiem, wielkość 100×100 c.

938. Laufer—haft richelieu.

UWAGA: Powiększone wzory
robót, umieszczonych w Do-
datku Mód, można nabywać
w Administracji „Bluszczu“
po cenach następujących:
obrus makatka-ekran zł. 2.50;
poduszka-serwetka . . . „ 1.50;
drobne desenie . . . groszy 75.
Kroje modeli, umieszczonych
w Dodatku Mód, dostarczamy
w ciągu trzech dni po cenach
następujących:

palto lub suknia fantaz. zł. 3.50
suknia zwyczajna . . . zł. 3.50
bluzka . . . „ 2.50
formy dziecinne . . . „ 2.00
bielizna . . . „ 1.50

Korespondencję, dotyczącą mód i robót,
należy kierować oddzielnie do Redakcji do-
datku mód. Zamówień nie należy uskutecz-
niać na blankietach czekowych P. K. O.

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

LABORATOIRE DES PARFUMS
ET COSMETIQUES

„PERFECTION“

Varsovie, Szpitalna 10.
Tel. 124-94.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Zofii L. Największym wrogiem ład-
nej cery, jest twarda woda do mycia. Żeby
ją zmiękczyć radzę dodawać 1 łyżeczkę
proszku LA MOLLETTE na 1½ — 2 litry
wody przegotowanej. Prócz tego, zamiast
mydła, radzę używać do mycia twarzy
OTRĄBKI ABARIDOWE, a chropowatość
i szorstkość skóry ustąpi napewno.

P. Maryli z Kruczej. Włosy
na rękach usunie Pani momentalnie EPIL-
MAXEM. Dla wydelikatnienia i wybielenia
rąk radzimy stosować znany krem PATE
DE PRELATS i pyłek JUVENIA CANDIDA.

Płochliwej. Naturalny i świeży
kolor ustom nada Pani, stosując płyn RO-
SEIN, który się nie zmywa i nie plami.
Żeby nabiorą śnieżnej białości przy stoso-
waniu do mycia proszku ALBOL.

Kresowiance. Twarz pielęgno-
wać KREMEM ABARIDOWYM, a wszystkie
defekty skóry, jak: łuszczenie się, chropo-
watość, szorstkość i pryszcze ustąpią. Myć
twarz najlepiej na noc OTRĄBKAMI ABA-
RIDOWEMI, a następnie wetrzeć cokolwiek
KREMU ABARIDOWEGO (niełustego)
i przypudrować tymże pudrem. Już po pa-
ru dniach zobaczy pani wielką różnicę.

M - m e E r c è d e s

Skład Główny środków tu podanych: Szpi-
talna 10 „Perfection“